Nr. 29 (1282). Warszawa, 29 (16) Lipca 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Ostrzeżenia.

Ostatnim prądem, obracającym koło naszych rozmyślań politycznych, jest powtarzane w kilku pismach (a raz nawet wyrażone w *Prawdzie*) twierdzenie, że burzliwe falowanie życia w Rosyi odbywa się tylko w górnych jej warstwach, natomiast dno pozostaje zupełnie spokojnem i nie odczuwa wcale ruchów powierzchni. Mniemanie to u jednych jest szczerym wnioskiem obserwacyi, u drugich — nieszczerą taktyką. Gdy pan A. Śliwiński ostrzega przed złudzeniami co do głębokości wiru konstytucyjnego, nie wątpimy, że widzi jego płytkość, ale gdy z tego samego tonu śpiewają narodowo-demokraci, to całkiem inna piosenka. Oni bowiem chcą, żeby tak było, rzetelność więc ich spostrzeżeń jest również w tym wypadku bardzo wątpliwą.

Byłoby to postępowaniem karygodnie lekkomyślnem, gdyby ktoś chciał świadomie podrabiać prawdę położenia i sztucznie odmalowywać czynniki, które w niem nie istnieją i nie działają. Co za cel takiego fałszerstwa, jeżeli wyłączymy chęć bałamucenia opinii społecznej? Uczciwy zatem optymizm może różnić się tu od uczciwego pesymizmu tylko przenikliwością i zakresem obserwacyi. Żaden nie kłamie i nie oszukuje, ale jeden widzi lepiej i szerzej, a drugi gorzej i ciaśniej. Który? Nie popełnię tak wielkiego grzechu, jakby się na pozór zdawało, gdy powiem, że najbardziej do rozwiązania podobnych zagadnień pomaga intuicya. Jakiekolwiek mógłby ktoś przedstawić dowody bystrości umysłu, wiedzy i trafnych przewidywań, z pewnością niema na kuli ziemskiej człowieka, któryby samym rozumem zdołał na 24 godziny postawić nieomylną wróżbę o przebiegu wypadków w najmniejszem a wzburzonem państwie. Cóż dopiero mówić o takiem olbrzymiem skupieniu przeróżnych i nieznanych żywiołów, jakiem jest Rosya! Wobec tego ogromnego kłębka splątanych nici Jowisz zrzekłby się proroctwa. Istotnie, kto zaręcza, że ruch reformatorski sięgnął do najgłębszych pokładów społecznych, rzuca sąd równie ryzykowny i na mocnej podstawie nieoparty, jak inny, który twierdzi przeciwnie. Ale przeczenie wcale nie jest najpewniejszym rysem prawdy. Tymczasem zwykle otrzymuje ono jej przywilej i ludzie, którzy wszczepiają niewiarę i rozczarowanie, uchodzą za mędrszych. Pomyślmy tylko, jakby wydrwiono przed półtora rokiem jasnowidza, któryby przepowiadał bodaj drobniutką cząstkę zmian i przewrotów, jakie się dokonały w Rosyi od tej daty! Dowiedzionoby mu, że dla takiego wrzenia niema odpowiedniego materyału, że historyczny a tak przed 80 laty skuteczny krzyk: „na kolana!" uśmierzy wszelką burzę i t. d. Kto więc dziś występuje w roli wróżbity a nawet dobrze poinformowanego spostrzegacza, ma 90 szans przeciw jednej, że rzuca słowa na wiatr. A jeżeli te słowa mają być drogowskazami działania politycznego i wykreślać linie programowe dla stronnictw—to już zakrawa na zabawę psotną. Bo niech tam sobie każdy wierzy, jak mu się podoba, ale niech nie nakłania innych, ażeby do tej jego wiary przykroili swoje czyny. W obecnym wypadku znaczy to: nie należy wmawiać w ogół, że widziany przez nas wulkan jest zwyczajnym kominem, z którego dymi się i wylatują iskry, bo w kuchni wielkopańskiej przygotowywana jest uczta, której chłopstwo przygląda się z za okna.

Go—on.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dni ubiegłe od ostatniej kroniki wypadków obfitowały w wydarzenia tak ważne, że każde z nich będzie miało przeznaczoną sobie przez historyę osobną kartę. Najważniejsze z wszystkich przypada w obręb dziejów Narodu Rosyjskiego i wytwarza dla niego fakt wielkiej doniosłości dla dalszego rozwoju. Niemałe też znaczenie dla kolei bieżącej wojny—wciąż jeszcze bieżącej—ma już spełniony, niecofniony wyjazd przewodniczącego w komitecie ministrów, niegdyś ministra skarbu i odrodziciela skarbowości, p. Wittego do Ameryki. Stało się to d. 19 b. m. Tego dnia zwolennik pokoju, przed wybuchem wojny jej przeciwnik opuścił Petersburg; we dwa dni później stanął w Paryżu. W sobotę (22-go) widział się z Rouvierem, miał z nim półtoragodzinną rozmowę w południe, przedstawił się Loubetowi, odwiedził kilku dostojników francuskich niższego stopnia i wieczorem znowu pół godziny rozmawiał z prezesem gabinetu i zarazem ministrem spraw zagranicznych Francyi.

Pamiętać potrzeba, że p. Rouvier był niejednokrotnie francuskim ministrem skarbu i ma do dziś dnia stosunki ze światem finansowym Francyi, a p. Witte znowu, jeśli potrzebuje pokoju, potrzebuje także i pieniędzy. Druga z tych potrzeb daje pewną wskazówkę pobudek, jakie mogły skłonić tak wielkiego dostojnika do odwiedzenia—pani Rotszyldowej, wdowy po baronie Alfonsie. Publicystyka europejska stara się uchylić zasłonę z instrukcyi p. Wittego względem pokoju. W ubiegłym tygodniu najlepiej w dziennikach popłacało jako nowość wrzekome skierowanie przyszłej działalności pełnomocnika nietylko na pokój, ale

nawet na przymierze z Japonią. Miał posiew takiej instrukcyi rzucić sam p. Witte, dla złagodzenia przykrości przy nieuchronnych ustępstwach i przez to samo już ułatwienie rokowań. Powszechnie i w Rosyi i w Europie, o ile kto nie stoi po stronie wojny do upadłego, przewidują warunki pokoju ciężkie: straty terytoryalne, wyrzeczenie się posiadania, a raczej w prawniczej mowie dzierżenia, zapłatę 4 miliardów fr. t. j. tyle, ile Japończycy wydali na wojnę.

Nie bez związku ze sprawą pokoju jest spotkanie się d. 23 b. m. cesarzów Rosyi i Niemiec na m. Baltyckiem. Zapowiadano je już 19 b. m., najpierwej z Paryża, ale zaprzeczenia tak się gęsto posypały i tak były stanowcze, że już uznano zapowiedź za zmyślenie, kiedy nagle d. 23 b. m. zjawiła się depesza z Petersburga donosząca o zamiarze jako rzeczywistym i, co więcej, w czyn już wprowadzanym. Celem zjazdu może być wciągnięcie Niemiec do wspólnego działania z Rosyą i Francyą dla powtórzenia polityki pomiędzy pierwszem zdobyciem Portu Arthura, na Chińczykach, d. 21 listopada 1894 r, a traktatem w Szymonoseki, 17 kwietnia—8 maja 1895 r.: czyli powstrzymanie Japończyków na drodze żądań po zwycięztwach i wydarcie im zdobyczy nie jako zwycięzcom, ale jako rasie żółtej—klarynet na którym ces. Wilhelm z zamiłowaniem przestrogi swoje dla ludzkości przed laty wygrywał. Podniętę do narad mogły dać i stosunki wewnętrzne. Nawet kwestya marokańska nie mogła nie wejść w programat zjazdu.

Zamach na samego sułtana—jest wypadkiem nowego w Turcyi typu. D. 21 b. m., kiedy Abdul Hamid znajdował się na zwykłem nabożeństwie piątkowem w meczecie Hamidje i już po odmówieniu modlitw wracać miał z całą paradą do Ildiz-Kiosku w niewielkiej od niego odległości wybuchnęła bomba, według niektórych mina podziemna (?). Jemu samemu nic się nie stało, ale naginęło sporo dygnitarzy, służby, koni, a powozów potrzaskanych miały być całe stosy. Liczbę zabitych podają na 24, ranionych na 57 (60). Sam winowajca, jeśli nie umknął, to zginąć musiał od swego pocisku. Sułtan podobno zachował zimną krew, która w zapał wprawia jego dworaków i poddanych. Polityczny charakter jeszcze nieokreślony.

W Anglii dnia 21 b. m. dali się Zachowawcy i Unioniści zaskoczyć Liberalnym. Gdy Redmond wniósł strącenie (symboliczne) drobnej kwoty z budżetu wydatków irlandzkich, Izba gmin dała w głosowaniu 199 *za*, 196 *przeciw*. Formalna klęska zatem jest oczywista, a wagę jej zwiększają jeszcze wybory cząstkowe, od pewnego czasu stale korzystne dla Liberalnych. Pomimo to p. Balfour zawiadomił króla, że gabinet nie uważa się za zniewolony do ustąpienia—i pozostaje. Słusznie Redmon wytknął Balfourowi jego uporczywość w trzymaniu się władzy, sprzeczną z uczuciem godności. Za dwa tygodnie parlament będzie rozpuszczonym.

ŻYCIE SPOŁECZNE

NA DOBIE.

Ustrój społeczny to nasyp, sformowany w chwilach ciszy z osadków, które pozostawiają na gruncie fale, dążącej naprzód, w ciągłym rozwoju, ludzkości.

Dopóki nasyp jest mały i wzrostem swym nie tamuje biegu fal, dopóty omijają go one spokojnie, formując nieznaczne wiry w miejscu napotykanej przeszkody.

Ale skoro wał wzrośnie do rozmiarów, które mogą zatrzymać fale, spokojny i cichy ich bieg zmienia się w orkan, który gwałtownym naporem niszczy własną pracę, rozrywa nasyp i dopóty się sroży, dopóki nie wywojuje zupełnej swobody dla swych ruchów.

Każda praca burzycielska jest szkodliwą. Za wzniesionym przez fale wałem powstało nowe życie, życie drogie dla żywiołu, który dzięki nasypowi zaczął istnieć, i który dla obrony swego istnienia wzmacniał nasyp po tamtej stronnie, ułatwiając falom, choć wbrew ich woli, ich spokojną pracę.

Natura, umożliwiając tworzenie się za nasypem nowego żywiołu, przeznaczyła mu rolę w rozwoju ludzkości. Zniszczenie i śmierć tego żywiołu pozostawia lukę, luka tworzy nowe wiry i prądy, które zakłócają spokój życia. Zadaniem żywiołu po obu stronach nasypu jest tworzenie takich warunków istnienia. które nie tamowałyby biegu i uniemożliwiały wzrost wału do rozmiarów, mogących wywołać niszczący wiekową pracę orkan.

Biegu fali, jako siły naturalnej, żywiołowej, nic nie może zatrzymać, bieg ten jednak daje się regulować. Im szerzej fala się rozlewa, im mniej na swej drodze spotyka przeszkód, tem bieg jej będzie wolniejszy, równiejszy. O miejsce dla tej fali, o usuwanie przeszkód z jej drogi powinni dbać przedewszystkiem ci, którym ona grozi zniszczeniem. Dajcie jej miejsce, dajcie wolną drogę, a będzie całe wieki płynęła spokojnie. W wolnym swym biegu będzie zawsze zostawiała żyzny osad; nagromadzony w pewnych miejscach potworzy on wyspy, na wyspach zakwitnie życie i wyrosną drzewa, które cieniem swoim będą ochraniać fale przed wysysającymi je promieniami słońca.

Formowane z osadków wyspy nie powinny zbyt wzrastać — nie powinny tamować ruchu fal, gdyż te wolne i ciche dopóki nie krępowane, zmienią się w wartkie potoki, skoro będą ujęte w wązkie koryta. Potoki można zatamować na chwilę; jeżeli jednak zabraknie im miejsca, dopóty będą zbierać i gromadzić swe siły, dopóki znowu nie zgromadzą ich tyle, ile trzeba dla zniszczenia postawionej zapory.

Cała mądrość tych, co mieszkają za nasypem, powinna być skierowaną ku temu, aby cichym falom nigdy nie zabrakło miejsca w drodze, jaka im została wyznaczona w dziejach świata.

Cała historya ludzkości jest obrazem biegnących fal, formowania się nasypów, potoków i orkanów, które niszczą te nasypy i wszystko, co za nimi żyje. Społeczeństwa więcej rozwinięte, bardziej samodzielne kierują biegiem swego rozwoju i skoro tylko zauważą zbyt wysoki nasyp, lub zbyt wązkie koryto potoku, starają się pierwszy obniżyć, drugie rozszerzyć. Społeczeństwo polskie więcej od innych skrępowane w swych ruchach, trudniej bieg swego życia mogło regulować.

Z chwil swobody nie umiało ono skorzystać, warunki społeczne jego życia inni normowali rozszerzali zbyt wązkie koryta spienionych potoków. Pracowano dorywczo i pozostawiono zbyt wiele nierówności, po za któremi tworzą się wiry, które uniemożliwiają prawidłowy bieg fali. Wyrównać ten bieg, kierować prądami, nurtującymi w społeczeństwie, daje nam prawo pragnienia życia. Na to jednak, aby uregulować wszystko, co staje na przeszkodzie biegowi jego, jesteśmy za słabi. Zresztą wiekowe nasypy wymagają wiekowej pracy do ich usunięcia. Każda chwila, jak w życiu pojedyńczej jednostki, tak w życiu całego narodu i całej ludzkości, jest chwilą odpowiednią do rozpoczęcia pracy, mającej na celu uregulowanie stosunków społecznych. Chwila obecna wydaje mi się najodpowiedniejszą ze wszystkich. Niedość silni, ażeby stworzyć nowe warunki, stać nas jednak chyba na tyle mocy, aby spokojną, cichą, lecz wytrwałą i systematyczną pracą znosić częściowo nagromadzone nierówności, które przeszłe pokolenia wzmocniły, a ręka która je usuwała, rozrzuciła w ten sposób, że chwilowo umożliwiając bieg fali, zatamowała jej szeroki rozlew i nie dopuściła do tworzenia wysp o żyznym gruncie dla nowego życia. Rozrzucony nasyp tworzy się na nowo, groźna fala, wstrzymywana w biegu, zaczyna coraz silniej uderzać o jego brzegi. Doświadczenie minionych wieków uczy, że niebezpiecznie jest w takiej chwili czekać, aż zerwie się orkan i własną siłą zacznie torować ujście dla nadmiaru fal, niebezpiecznie się chować i kryć za wałem. Trzeba iść przeciw falom i ułatwić im drogę, którą popłynie nadmiar wód, dając czas słabym naszym siłom do obniżenia wysokości nasypu.

S. St.

M. Gorkij.

ZEGAR.

VI.

Tik-tak, tik-tak!

„Na cóż dano światło człowiekowi, którego droga zamknięta i którego otoczyłeś mrokiem?” Tak pytał Boga stary Hiob. Dzisiaj niema już takich śmiałków, którzy, pamiętając, że są dziećmi Boga i że stworzył ich On na obraz i podobieństwo swoje, przemawialiby do niego, jak Hiob. Nizko w ogóle cenią dzisiaj ludzie samych siebie. Nie kochają życia i siebie nawet kochają nieumiejętnie. A jednocześnie boją się śmierci, chociaż nikt, jak wiadomo, nie uniknie jej. Wszystko, co nieuniknione — posiada moc prawną. Wszak człowiek wciąż umiera od chwili, w której zjawił się na świecie. Czas już oswoić się z tem. Poczucie spełnionego zadania może rozproszyć lęk śmierci, a uczciwie przebyta droga życia da koniec spokojny.

Tik-tak... Człowiek pozostawia po sobie tylko czyny swoje. Zegar życia milknie dla niego wraz z zamarciem jego pragnień. Inne wybijać on będzie godziny — godziny oceny jego życia — surowe godziny.

VII.

Tik-tak, tik-tak!

W gruncie rzeczy jest wszystko dość prostem w tym świecie, uwikłanym w sieć sprzeczności, tchnącym kłamstwem i nienawiścią. Byłoby zaś jeszcze prostszem, gdyby ludzie przyglądali się sobie wzajem i każdy miał obok siebie przyjaciela.

Kto stoi sam, jeśli nawet jest wielkim, jest mimo to małym.

Niezbędną jest rzeczą, aby ludzie rozumieli się wzajem: wszak wszyscy mówimy mniej jasno i gorzej, niż myślimy Człowiekowi brak wielu słów do otworzenia swojego serca przed drugim, i dlatego przepada bez śladu wiele wybranych i ważnych dla życia myśli, które w swoim czasie nie znalazły dla siebie odpowiednich form zewnętrznych. Rodzi się myśl, istnieje gorąca chęć wcielenia jej w słowa, w wyrazne i ścisłe słowa... a słów tych — niema.

Więcej wgłębiania się w myśl! Przywiązywania więcej do niej wagi! Pomagajmy jej rodzić się, okupi ona zawsze naszą pracą. Wszędzie i we wszystkiem tkwi myśl,—dostrzeżemy ją nawet w szcze-

Robotnicy folwarczni.

Dokończenie.

Nie skarżmy się więc na nieuczciwość naszego ludu, jak z drugiej strony, nie idealizujmy go. Smutna to wprawdzie rzecz pomyśleć, iż wszyscy niemal robotnicy wiejscy, to tylko mniej lub więcej ostrożni złodzieje,—smutniejsza jeszcze, że wśród warunków, w jakich dziś żyją, muszą być nimi. Jeśli umoralnienie całej warstwy społeczeństwa, złożonej z miljona głów, jest pracą kilku pokoleń, jeśli w tym celu poruszyć trzeba tysiące sprężyn, użyć tysiąca czynników i na tysiącznych punktach działać jednocześnie, to przecież najpierwszym i najpoważniejszym środkiem w tym kierunku, jest zapewnienie im stanowiska, na którem występek nie będzie koniecznym warunkiem życia.

Piętnaście lat upłynęło od chwili, gdy K. Filipowicz wypowiedział te słowa, a jednak do dnia dzisiejszego warunki życia parobka wiejskiego nie zmieniły się w niczem na lepsze. Ta sama nędza w chacie, ten sam brud do około. Niepewne położenie robotnika wiejskiego nie pozwala mu myśleć o urządzeniu znośnem swego miejsca pobytu. Robotnik fabryczny, najmując mieszkanie w mieście, ma możność wyboru, parobek bierze takie, jakie mu dają. Nie będąc pewnym, jak długo pozostanie na tem samem miejscu, nie może myśleć o urządzeniu mieszkania według swego upodobania, niechętnie zakłada ogródek pod oknem, niechętnie sadzi drzewko; a jednak czuje on tego potrzebę, i wielu z nich, służąc dłużej i czując się bezpieczniej probuje ozdabiać swe otoczenie drzewkiem lub krzewem, które uważają już za swą własność. Kobiety, o ile się przekonają, że ogródki nie wpłyną na zmniejszenie działów ziemi pod warzywa, zakładają je często. Parobek, skazany na życie tułacze z folwarku do folwarku, przywiązuje się jednak do miejsca w którem służył lat kilka, i niechętnie je zmienia, bo i pocóż ma zmieniać? Warunki, ofiarowywane mu przez pracodawców są prawie jednakowe w całej okolicy, gdzie większa ordynarya, tam mniejsza płaca i naodwrót. Czasem wabi ich lepsze mieszkanie, mniejszy dozór nad własnością folwarku i pracą, lepszy grunt pod kartofle, wreszcie stosunki familijne. Wszyscy oni trzymają się zwykle jednej okolicy, rzadko przechodząc w odleglejsze strony. Na położenie wiejskiego parobka w znacznej mierze wpływa stan interesów właściciela folwarku. O ile robotnik fabryczny ma zagwarantowaną akuratną wypłatę swego zarobku, o tyle parobek wiejski zależy od widzimisię pracodawcy. Nie wiem, czy są folwarki, w których wypłata pensyi odbywałaby się w stale określonych terminach. W większości daje się parobkowi stosownie do jego potrzeb, po rb. 2 lub 3 na skutek jego prośby, ostateczny obrachunek odbywa się przy końcu najemnego roku, ale obrachunek nie dowodzi jeszcze wypłaty. Gdybyśmy przeszli kraj cały, znaleźlibyśmy bardzo dużo takich folwarków, gdzie parobkom zalegają należności za lat parę, gdzie ordynarya wypłaca się akuratnie tylko na jesieni i w zimie, gdzie właściciel, winien ordynaryę i pensyę, musi przez szpary patrzeć na nadużycia swej służby.

O zorganizowaniu pomocy lekarskiej dla służby folwarcznej, o zobowiązaniu właściciela do sprowadzania lekarza w razie choroby dotychczas nie słychać, zależy to wszystko od stopnia uczuć filantropijnych właściciela, bliskości miasta, stanu dróg i rodzaju roboty w polu. To też parobek wiejski przyzwyczaił się rodzić, chorować i umierać bez doktora. Jaki jest wiek przeciętny robotnika wiejskiego i co się z nim dzieje po dojściu do stanu, kiedy już pracować nie jest zdolny, nie wiem, charakterystycznem jest jednak, że pomiędzy służbą folwarczną starych ludzi spotyka się niewielu, dziadów, żebrzących po wsiach, jest bardzo mało, należy więc przypuszczać, że większość ludzi tej kategoryi umiera, zanim dojdzie lat, kiedy utrata sił pozbawi ich możności pracy. Jedyne też to wyjście z obecnego ich położenia.

Emigracya do Anglii i Ameryki, rozwijająca się coraz szerzej w ostatnich czasach, nie rozwiązuje kwestyi polepszenia losu robotnika wiejskiego. Emigrować mogą tylko ci, co posiadają fundusz na drogę; fundusz ten zdobywają, wyprzedając cały swój majątek t. j. krowę, świnię, sprzęty i ubranie. Zdobyty w ten sposób kapitał wystarczy na bilet dla jednej osoby t. j. ojca rodziny, reszta pozostaje bez środków utrzymania i cierpi nędzę, dopóki ojciec nie nadeśle z Ameryki trochę grosza. Widząc przykłady nędzy pozostawionych rodzin, żony zatrzymują mężów i w ten sposób pomagają do uregulowania ruchu emigracyjnego. Z drugiej strony emigracya do Ameryki nie wydaje mi się tak świetną w rezultatach, jak o tem piszą nasi ekonomiści. Prawda, że lud nasz pod jej wpływem rozwija się kulturalnie, że zarabia i przysyła pieniądze, ale i jedno i drugie ma swoją smutną stronę. W większej ilości wypadków, ci co na emigracyi osiągnęli pewien stopień rozwoju, pozostają na obczyznie i są dla nas straceni, jeżeli który z nich wraca, to nie na długo, bo przyzwyczajony do lepszych warunków życia, z dawnymi pogodzić się już nie umie. Wracają na stałe po większej części tacy, którym szczęście na obczyznie nie dopisało. Wyzuci z własności, najczęściej bez zdrowia i sił, pomnażają liczbę proletaryuszów, wnosząc zniechęcenie i niewiarę w możliwość poprawy bytu. Miliony, przysyłane z Ameryki, możeby wyglądały inaczej, gdybyśmy odjęli od nich to, co się wywozi z kraju, te koszta podróży, te straty przy gwałtownej sprzedaży sprzętów i inwentarza: przytem ubytek ludności wpływa bardzo ujemnie na obrót w miejscowym handlu i przemyśle. Wreszcie, jak wśród ludności wiejskiej, tak i wśród inteligencyi, mówi się zawsze tylko o tych którym się dobrze powodzi, o tych którzy przysyłają pieniądze, a o setkach i tysiącach, które giną w kopalniach lub marnują się na ulicach wielkich miast Ameryki lub Anglii, nikt u nas jeszcze nie pomyślał. Gdyby zebrać szczegółowe dane i podsumować wszystko, być może inaczej zapatrywalibyśmy się na emigracyę. Kwestyi tej jednak nie przesądzam, ponieważ dotychczas jest ona jeszcze niezbadana. Ostrzegam tylko, że sądów o korzyści lub niekorzyści emigracyi, pod względem polepszenia ekonomicznego bytu ludności włościańskiej, do czasu zbadania jej gruntownie i oparcia na danych cyfrowych, wydawać nie można i nie należy. Emigracya rozpoczęła się nie od dziś, rozmiary jej są ogromne. a tymczasem pomimo zapewnień o jej dobroczynnych skutkach, tych skutków na wsiach nie widzimy. Aby wyrobić sobie pojęcie o plusach, należy dobrze obliczyć minusy i stworzyć rzeczywisty obraz w cyfrach, a nie w przypuszczeniach.

W ostatnich czasach państwa, ku którym ciąży nasza emigracya, okazują dążenie do ograniczenia przyjmowania obcych, a więc emigracya nie rozstrzygnie kwestyi przyszłości robotnika wiejskiego. Sprawa ta prawdopodobnie będzie uregulowana w sposób radykalny, przez upaństwowienie ziemi; zanim jednak to nastąpi przejdą długie lata, lata głodu fizycznego, moralnego i umysłowego dla robotników wiejskich.

Aby więc byt ich uczynić znośnym, aby znaleźć dla nich inne niż śmierć wyjście z obecnego ich położenia, należy obmyśleć choć tymczasowe środki, mogące byt ten uczynić znośnym.

Pierwszą taką potrzebą jest kwestya mieszkania. Każda rodzina powinna mieć przynajmniej oddzielną dużą izbę z dostateczną ilością powietrza, z podłogą, oknem otwieranem, kuchnią angielską i piwniczką, aby nie potrzebowała trzymać podręcznego zapasu kartofli i kapusty w izbie. Dla każdego z członków rodziny parobka powinna być zapewniona pomoc lekarska w czasie choroby. Dzieci powinny znaleźć opiekę wtedy, kiedy matki zajęte są robotą w polu lub stodole. Opieka taka dałaby się urzeczywistnić, przez zaprowadzenie dwóch przynajmniej izb, dla młodszej i trochę starszej dziatwy, z dozorczynią, co zastępowałoby do pewnego stopnia ochronkę wiejską.

Starsze dzieci, do lat 8, mogłyby pod okiem dozorczyni wykonywać małe roboty.

---

linach kamienia, jeśli tylko zechcemy. Jeśli ludzie zechcą, osiągną wszystko i jeśli zechcą, będą władcami świata, nie zaś niewolnikami jego, jak to się dzieje ostatecznie. Niech tylko zbudzi się pragnienie życia, dumne poczucie siły własnej, a życie całe składać się będzie z godzin pięknych, pełnych przejawów siły ducha, olśniewających szlachetnością czynów bohaterskich,— z godzin wielkich.

VIII.

Tik-tak, tik-tak.

Niech żyją silni duchem, niech żyją natury mężkie, ludzie, którzy służą prawdzie, sprawiedliwości i pięknu! Nie znamy ich; są oni dumni i nie żądają nagród; nie widzimy z jaką gotowością palą własne serca. Rzucając snopy blasków jasnych na życie, odsłaniają światło ślepym nawet. Trzeba, aby przejrzeli ślepi, których tak jest wielu, trzeba, aby wszyscy ludzie z przerażeniem i wstrętem dostrzegli, jak brutalnem, niesprawiedliwem i potwornem jest ich życie. Niech żyje człowiek, władca swoich pragnień! Cały świat — w sercu jego; cały ból świata, całe cierpienie ludzi — w jego duszy; zło i kał życia, kłamliwość i okrucieństwo — to jego wrogowie: wszystkie godziny życia swego hojnie zużywa on na walkę, i życie jego pełne jest radosnego upojenia pięknego gniewu, dumnego uporu... Nie żałuj siebie — to najdumniejsza, najpiękniejsza mądrość na świecie. Niech żyje człowiek, który nie umie żałować samego siebie! Istnieją dwie tylko formy życia: gnicie i spalanie. Tchórzliwi i chciwi wybiorą pierwszą, śmiali i szczodrzy — drugą. Każdy, kto kocha piękno, oceni, która z nich jest wznioślejszą.

Zegar naszego życia wydzwania dzisiaj czcze, nudne godziny; zapełnijmy je pięknymi czynami, nie żałując siebie, a wówczas przeżywać będziemy inne: piękne, pełne radosnych wzruszeń, pełne dumy pałającej. Niech żyje człowiek, który nie umie żałować samego siebie!

przełożyła R. C.

jak wyplatanie, wycinanie z drzewa, rysowanie, młodsze uczyłyby się bawić w sposób przyzwoity i rozwijający.

Dzieci do lat 11 lub 12 nie powinny być używane do żadnej cięższej pracy fizycznej, a natomiast posyłane do szkoły, bezpłatnie i obowiązkowo. Dla dzieci powinny być przy koszarach zostawione place do zabawy, od strony przeciwnej drodze, dla uniknięcia wypadków przejechania. Dla utrzymania czystości, o której lud nasz niema pojęcia, powinna być przy koszarach łaźnia, przynajmniej dwa razy w tygodniu otwarta dla użytku parobków i ich rodzin.

W celu zaspokojenia najpilniejszych potrzeb, na wypadek kalectwa, choroby, starości lub śmierci, należy urządzać obowiązkowe kasy, przy współudziale pracodawców. Powinny być ustanowione stałe terminy wypłaty pensyi, oraz na wypadek nieurodzaju kartofli, zagwarantowany dodatek ze strony właściciela do pewnej, ściśle określonej normy.

St. Staniszewski.

LISTY GALICYJSKIE.

Debaty szkolne w krakowskiej radzie miejskiej. — Sprawa liceów żeńskich.—Wybory w Złoczowskiem.— Uniwersytet wakacyjny.

Dość niespodzianie rozwinęła się na posiedzeniach krakowskiej rady miejskiej bardzo obszerna, bo trwająca przez trzy dni dyskusya w sprawie szkolnej. Dyskusya ta była z tego względu ciekawa, że poddano w niej druzgocącej krytyce panujący w Galicyi system szkolny, wytworzony przez takich Bobrzyńskich i jemu podobnych duchów reakcyi.

Dyskusyę wywołało sprawozdanie delegata krakowskiej rady miejskiej, prof. Jordana do Rady szkolnej, krajowej. Prof. Jordan, jako delegat, wykręcił się w swem sprawozdaniu sianem nic nie mówiących ogólników, co mu pozwoliło prześlizgnąć się po powierzchni istniejących stosunków z uśmiechem optymistycznego pobłażania, zupełnie faktycznym stanem rzeczy nieusprawiedliwionego. Na sprawozdaniu tem, oparł gorsze oskarżenie współczesnego systemu szkolnego w Galicyi radca Daszyński, który zastanowił się szczegółowo nad rozmaitymi, dotkliwymi brakami szkół średnich. Mundurki, dzikie „przepisy szkolne", niemoralny wpływ katechetów, szerzenie antisemityzmu przez nauczycieli, duch antisemicki, panujący w podręcznikach, w których cenzuruje się ustępy patryotyczne o duchu polityki trójprzymierza i t. d. i t. d. wszystko to Daszyński z właściwą sobie wymową poddał krytyce druzgocącej. Mówcy demokratyczni poparli Daszyńskiego, który w drugiem przemówieniu rozszerzył oskarżenie na całokształt szkolnictwa. „Z elementarza — mówił—wyrzuciliście nawet z tytułu wyraz „polski", a na to miejsce wpakowaliści aż dwa orły austryackie. Przy literze K wyrzuciliście z elementarza wyraz „Kościuszko" i „Krakus zbudował Kraków", a natomiast wstawiliście zdanie — doprawdy dobre i dla Syngalezów: „Kowala zaboli bok". (Wesołość). Mam tu całą wiązankę takich urzędowych pokaleczeń poezyi Pola, Romanowskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Konopnickiej w książkach szkolnych. Nie chcę panów nużyć ich odczytywaniem, ale w ręce p. radcy dworu składam te dowody barbaryzmu urzędowych kierowników oświaty z ery Bobrzyńskiego. Trzymaliście młodzież pod kloszem, skwapliwie ochranialiście ją przed „złymi wpływami" naszych poetów—i doczekaliście się, że żaden chłopak z uszanowaniem nie patrzy na te wasze książki szkolne, lecz stara się dostać dzieła naszych poetów w oryginale, aby akurat przeczytać to, coście wyrzucili!" (Okłaski).

Najciekawszem w całej tej rozprawie trzydniowej jest to, że ani prof. Jordan, ani nikt inny z konserwatystów nie podjął się obrony pozycyj, zaczepionych przez radcę Daszyńskiego. Prof. Jordan zastrzegł się, że przepisy o których mowa, istnieją od dłuższego czasu, aniżeli on należy do Rady szkolnej, jako delegat. Radca L. Jaworski współredaktor „Czasu", popierający i broniący prof. Jordana, mimowoli przyznał racyę p. Daszyńskiemu, ale wypowiadał się w duchu maksymy „po nas niech przyjdzie potop". Podczas dyskusyi powyższej była mowa i o sprawie gimnazyum żeńskiego, omówionej przezemnie w jednej z korespondencyj. Prof. Jordan przyczynił się swą powagą do nieudzielenia prywatnemu gimnazyum żeńskiemu w Krakowie prawa publiczności, działając na rękę konserwatystom, którzy zakładają od jesieni konkurencyjne gimnazyum żeńskie. Zresztą prof. Jordan oświadczył, że jest zasadniczym przeciwnikiem wyższego kształcenia kobiet, więc go nawet konserwatywne gimnazyum żeńskie nie zadawala. Uczony ten mąż, doświadczony akuszer, założyciel słynnego parku dla dzieci na gruncie malarycznym i pogromca posła ludowego Bojki, któremu rzucił w twarz wyraz „bydlę" — jest autorem powiedzenia: „że kobieta może być lekarzem, uwierzę w to tylko wówczas, kiedy słowik przestanie mi śpiewać pod oknem".

Nie wiadomo, czy słowiki pouciekały z pod okien prof. Jordana, ale dziś już nawet w Galicyi nie brak lekarek, a aspirantek do tego zawodu z każdym rokiem coraz więcej, pomimo że dotychczas jeszcze dziewczęta, chcące wstąpić na uniwersytet, muszą borykać się z rozmaitemi trudnościami.

Od niedawna stosunkowo wprowadzony został w Galicyi nowy typ średnich zakładów naukowych dla dziewcząt w postaci t. zw. liceów, których kurs zbliża się częściowo do kursu szkół realnych, częściowo zaś gimnazyów. Licea te przyjęły się odrazu i obecnie istnieje ich sześć—4 we Lwowie (pomiędzy temi jedno niemieckie), dwa w Przemyślu (jedno rusińskie) po jednem w Krakowie, Tarnowie i Kołomyi. Dwa ostatnie są utrzymywane przez Urszulanki. Ogólna liczba dziewcząt, uczęszczających do liceów, wynosi 580, gdy w czterech istniejących gimnazyach żeńskich uczy się 427. Wszystkie licea, z wyjątkiem jednego—p. Niedziałkowskiej we Lwowie, posiadającego prawa szkół publicznych—są prywatne. Ponieważ austryackie władze rządowe jeszcze nie postanowiły ostatecznie, jaki typ ma być nadany średnim zakładom naukowym dla dziewcząt, utrzymywanym przez ministeryum oświaty, przeto wszelkie doświadczenia istniejących liceów są poddawane bacznej uwadze. Albowiem tylko przez porównanie wyników nauki w szkołach obu typów da się wytworzyć pogląd jasny na to, czy liceum, czy też gimnazyum bardziej odpowiada potrzebom. Dla tego też pierwsza matura w lwowskiem liceum p. Niedziałkowskiej budziła wielkie zainteresowanie w sferach władz pedagogicznych. Wskutek tego na egzaminach dojrzałości, do których przystąpiło w liceum p. Niedziałkowskiej 27 uczenic, byli obecni: namiestnik Potocki, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej p. Płażek i szereg profesorów ze Lwowa i Krakowa.

Wynik egzaminu okazał stan daleko wyższy od tego, jakiego wymaga rozporządzenie ministeryalne o egzaminach dojrzałości w liceach żeńskich, wydane w roku 1901. W zakresie bowiem nauki literatury polskiej uczenice wykazały daleko lepsze opanowanie przedmiotu i głębsze zrozumienie materyału, niż przeciętni uczniowie gimnazyów miejskich. To samo i w dziedzinie historyi oraz geografii. Z języków uczono w liceum obowiązkowo niemieckiego i francuskiego w zakresie programu szkół realnych, ale i tu rezultaty były wyższe od tych, do jakich dochodzi galicyjska szkoła realna. Zwłaszcza pod względem znajomości języka francuskiego poziom wiedzy uczenic wprost nie może być porównany z wiadomościami realistów. Natomiast w matematyce i fizyce żądania były skromniejsze, a poziom wiedzy odpowiadający mniej więcej poziomowi pierwszych sześciu klas gimnazyalnych. W naukach przyrodniczych i somatologii abituryentki wykazały wiedzę, odpowiadającą tej, jaką daje gimnazyum. Co do łaciny, to była ona traktowana, jako przedmiot nadobowiązkowy.

Ma się rozumieć, że wyniki, osiągnięte w liceum p. Niedziałkowskiej, nie dadzą się uogólnić, jako rezultaty wszystkich liceów żeńskich, gdyż w każdem z nich odgrywa wielką rolę indywidualność kierowników, jak we wszelkich zakładach o typie jeszcze nieustalonym. Z góry np. można powiedzieć, że w liceach, prowadzonych przez zgromadzenie zakonne Urszulanek, wyniki będę zupełnie inne. W każdym razie już tego materyału, jakiego dostarczyła praktyka istniejących liceów i gimnazyów żeńskich, wystarczy chyba na to, ażeby rząd austryacki przyszedł do jakiegoś przekonania co do wartości jednego czy drugiego typu i począł zdejmować z bark osób i instytucyj prywatnych ciężar, który obowiązane jest ponosić państwo.

Bardzo charakterystycznym a jednocześnie niespodziewanym jest wynik wyborów uzupełniających w powiecie Złoczowskim w kuryi własności chłopskiej. Powiat Złoczowski jest powiatem o przeważającej ludności rusińskiej, zwłaszcza wiejskiej, która rozstrzyga przy wyborach z kuryi IV-ej. Dotychczas polscy posłowie jeśli wychodzili z tego powiatu, zdobywali mandaty wyłącznie wskutek nacisku rządowego i wprawienia w ruch całej machiny „wyborów galicyjskich": przekupstwa, oszustwa, gwałtów i t. d. Tymczasem przy obecnych wyborach do sejmu nadużyć nie było, co uznają i pisma rusińskie, a jednak kandydat polski p. Kazimierz Obertyński otrzymał 247 głosów z ogólnej liczby 310. Jego przeciwnik, ks. Piotrowski, należący do stronnictwa starorusińskiego, zdobył zaledwie 61 głosów. „Hałyczanin" (organ Starorusinów) zwala winę na nielojalność narodowców rusińskich, którzy nie postawili wprawdzie własnego kandydata, ale nie kwapili się z głosowaniem za kandydaturą ks. Piotrowskiego. „Diło" (organ narodowców) pociesza się tem, że klęska Rusinów w powiecie Złoczowskim jest właściwie porażką Starorusinów, ale przychodzi w końcu do smutnych wniosków. Z jakiegokolwiek punktu patrzeć będziemy na wybór złoczowski — pisze „Diło" — jest on skandalem. W powiecie z ogromną przewagą ludności rusińskiej zwycięża kandydat polski, towarzysz Kozłowskiego w objeździe antirusińskim, organizator polskich związków, czytelni i wycieczek, i zdobywa taką olbrzymią większość głosów, że tego poprostu nie można objaśnić teroryzowaniem wyborców lub nadużyciami. Dalej organ narodowców wyraża przypuszczenie, że i przy wyborach ogólnych w innych powiatach mogą spotkać Rusinów przykre niespodzianki.

Wybór p. Obertyńskiego jest z tego jeszcze względu charakterystyczny, że wyborcy Rusini mieli przed sobą nie jakiegoś pionka konserwatywnego, lecz człowieka o zupełnie określonych poglądach i określonym programie, działającego dotychczas w kierunku uświadamiania polskiej ludności włościańskiej, rozrzuconej pomiędzy Rusinami. A jednak na niego, niejednokrotnie ogłaszanego za rusinożercę, oddali

chłopi rusińscy swoje głosy. W ten sposób kwestya rusińska w Galicyi Wschodniej komplikuje się coraz bardziej i przybiera charakter zupełnie odmienny od dawnego.

Z dniem 15-go lipca rozpoczęło „Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych" drugi rok działalności, poświęconej pielęgnowaniu i szerzeniu wolnej nauki. Na uroczystość inauguracyi stawiło się mnóstwo osób i z po za grona słuchaczów „uniwersytetu zakopiańskiego", którzy i w tym roku zjawili się bardzo licznie ze wszystkich stron kraju. Uroczystość zagaił profesor wszechnicy Jagiellońskiej—Odo Bujwid, przewodniczący „Towarzystwa." Po przywitaniu zebranych prof. Bujwid mówił o ciężkich stratach, jakie poniósł „Uniwersytet wakacyjny", a z nim całe społeczeństwo przez śmierć Kazimierza Mokłowskiego i Kazimierza Krauza, z których pierwszy był prelegentem, a drugi duszą młodej instytucyi, służąc jej jako organizator i prelegent. Następny mówca — p. Wilhelm Feldman poświęcił również gorące wspomnienie K. Krauzowi, którego nieobecność w tym roku dotkliwie odczują tak słuchacze, jak i kierownicy „Uniwersytetu wakacyjnego."

Daleki.

Bliźnięta polityczne.

Niekiedy się zdarza, że nieszczęśliwa jakaś matka rodzi bliźnięta, brzuszkami zrośnięte z sobą, tak że te biedne istotki mają wspólną wątrobę czyli raczej, rzekłbyś, wązki most tkanki wątrobowej, całkiem porządnie skórą obrośnięty, łączy wątrobę Marysi z wątrobą Małgosi. Jest to tedy wypadek nader smutny; bo nietylko przykrojenie szat dla takich cudackich panienek jest dla krawczyń problematem nader zawikłanym,ale dla całego dalszego rozwoju fizycznego i umysłowego obu dzieci potworna ta wspólnota jest zgubną. To też nauka lekarska nakazuje w takich wypadkach przeprowadzić separacyę nożem chirurgicznym. Narkotyzuje się bliźnięta, przecina się ową wspólną wątrobę, powstrzymuje się krew, tryskającą z rany i zaszywa się skórę nad nią, poczem się Marysię kładzie do jednego łóżeczka, a Małgosię do drugiego. Teraz dopiero oba dziewczątka mogą się rozwijać po ludzku. Marysia może się bawić ze Stasiem, a Małgosia tymczasem z Jasiem; Marysia może ślęczeć nad elementarzem, a Małgosia może tymczasem igrać po łące i kwiaty zrywać. A właśnie dla tego, że sobie już nawzajem nie zawadzają na każdym kroku, może się między niemi utrwalić najserdeczniejsza przyjaźń.

Całkiem inaczej rzecz się ma w dziedzinie socyologii. Jeżeli dwa narody brzuchami ze sobą są zrośnięte tak, że jeden ani kroku postawić nie może bez wleczenia za sobą swojego przymusowego wspólnika, to dla obu jest to źródłem nieustannych, anielskich rozkoszy. Takie właśnie zrośnięcie się dwóch organizmów narodowych, które dla powierzchownego oka wydaje się potwornem kalectwem, dla gruntownego badacza jest natomiast rękojmią pomyślnego rozwoju, nazywa się u prawdziwie naukowych socyologów *organicznem wcieleniem*. A nawet zjawiska, w najwyższym stopniu zgubne u bliźniąt biologicznych, są w jak najwyższym stopniu zbawienne u bliźniąt socyologicznych. Jeśli bowiem z dwóch bliźniąt,zrośniętych z sobą, jedno zachoruje np. na suchoty, to trzeba zdrowe bliźnię czemprędzej odciąć, bo inaczej zarazi się suchotami i oba umrą na tę samą chorobę. Jak najszybsza separacya w tym wypadku jedynym jest ratunkiem dla zdrowego organizmu,sprzągniętego z organizmem chorym. Otóż u bliźniąt socyologicznych zdarza się wprawdzie coś pozornie analogicznego. Jeżeli bowiem z dwóch narodów sprzągniętych razem, jeden ulega ciężkim jakimś klęskom, przesileniom lub zaburzeniom ekonomicznym, to zaburzenia te ze szczególną łatwością udzielają się i drugiemu narodowi, wywołując tam zastój, brak zatrudnienie i głód masowy. Ale tylko całkiem bezmyślny dyletant twierdzić może, jakoby takie ułatwione udzielanie się zarazy ekonomicznej było istotnie zjawiskiem ujemnem. Przeciwnie, głębsze badania krytyczne wykazały, że głód masowy, wycierpiany przez jeden naród wskutek zbyt ścisłego związku z nieopatrznie gospodarującym sąsiadem, jest w rzeczywistości szczęściem niewysłowionem. Dlatego też owo ułatwione udzielanie się zarazy ekonomicznej zostało uznane za pierwszorzędne źródło postępu i mianem *wspólnego kapitalizmu* ochrzczone. Z powodu tego właśnie wiekopomnego odkrycia najgenialniejszy socyolog polski, szlachetny p. Warski, mianowany został członkiem honorowym instytutów socyologicznych w Bukareszcie, Teheranie i Honolulu.

Otóż aż do r. 1905 istniał w Europie idealny przykład bliźniąt socyologicznych: Szwecya i Norwegia. Zrosły się one z sobą w r. 1814. Były to bliźnięta nierówne; Szwecya była przeszło dwa razy większa, przeszło trzy razy ludniejsza. Była też silniejszą, ona to w r. 1814 zbrojną ręką zmusiła Norwegię, której się zachciało niepodległości, do uznania zwierzchnictwa króla szwedzkiego. Wraz z unią polityczną nastąpiła i unia cłowa; co więcej, jedynym z pierwszych czynów nowego zwierzchnika było zbudowanie całego szeregu gościńców, w poprzek granicznych gór, łączących miasta norweskie z miastami zwycięzkiej Szwecyi. [1]). I otóż w takich warunkach, organicznie wcielona do Szwecyi wspólnością dynastyi, reprezentacyi dyplomatycznej i konsularnej, linii cłowej i dróg komunikacyjnych, Norwegia wraz ze Szwecyą wkroczyła w okres kapitalistyczny. W początkach 19 wieku była ona prawie wyłącznie rolnicza oraz rybacka, w drugiej połowie tegoż wieku zaczęła coraz bardziej rozwijać swój przemysł. Któżby śmiał wątpić o tem, że był to organicznie wcielony przemysł norwesko-szwedzki? A jeśli się nawet znajdzie taki śmiałek, zmiażdżę go cyframi! Po pierwsze wartość towarów norweskich, wywożonych zagranicę, która od r. 1851—1855 wynosiła przeciętnie zaledwie 43,7 milionów koron szwedzkich rocznie, odtąd stale wzrastała, i to tak szybko, że w r. 1898 wynosiła już 159,3 koron szwedzkich; a jednocześnie ludność przemysłowa Norwegii, która w r. 1865 wynosiła zaledwie 15% ogółu ludności, aż do roku 1891 wzrosła na 23%, podczas gdy w Szwecyi w r. 1891 ludność przemysłowa wynosiła tylko 22,7% ogółu! [2]). Wszak wobec takich faktów chyba tylko płytki dziennikarz jakiś drobnoszlachecko-szowinistyczny może wątpić o tem, że uprzemysłowienie Norwegii było wyłącznie dziełem mądrego i oświeconego rządu szwedzkiego, który przemysłowi norweskiemu, ścieśnionemu na wązkim pasie ziemi między skalistym brzegiem morza a stromemi górami o szczytach wiecznym śniegiem pokrytych, na oścież otworzył wschodnie rynki szwedzkie! A po drugie: eksport towarów norweskich do Szwecyi, który od r. 1866—1870 wynosił przeciętnie tylko 6,2 milionów koron rocznie, wynosił w r. 1897 aż 26 milionów koron! Wszak cyfry te dowodzą jasno jak na dłoni, że Norwegia rozwój swojego przemysłu zawdzięczała właśnie tym wschodnim rynkom szwedzkim, i że węzły współżycia ekonomicznego od roku do roku coraz bardziej się zacieśniały!

[1]) Obacz: Norway, official publication for the Paris exhibition 1900. Kristiania, Aktie - Bogtrykkeriet.—Strona 443, a także str. 414 oraz str. 394.

[2]) Obacz: Norway, official publication for the Paris Exhibition 1900. Strona 385 i 417.

Coprawda, pod koniec 19 wieku pojawiły się pewne, pozorne zboczenia od odwiecznych praw rozwoju ekonomicznego. Norwescy mężowie stanu zaczęli robić ustawiczne wysiłki celem rozluźnienia unii ze Szwecyą. Oburzające te intrygi oczywiście przypisać należy wpływom drobnoszlacheckim. Wprawdzie w Norwegii już od wieków żadnej szlachty nie było, a owi separatystyczni ministrowie i posłowie norwescy przeważnie byli synami chłopskimi; ale ci chłopi przecież kiedyś w średnich wiekach byli poddanymi szlachty, a zatem znajomość atawizmu psychologicznego nakazuje nam przypuszczać, że ci pozornie demokratyczni mężowie stanu w rzeczywistości pochodzili od nieprawych synów szlacheckich. Otóż te bękarty szlacheckie najsłabszego pojęcia nie miały ani o ekonomii, ani o socyologii, jak to zwyczajnie bywa u takich bękartów. Tylko tym analfabetyzmem naukowym wytłómaczyć można, że w r. 1897 ci szaleńcy dopuścili się czynu, wołającego o pomstę do niebios: przy pertraktacyach o odnowienie unii cłowej ze Szwecyą stawiali tak niemożliwe warunki, że unia cłowa została zerwaną! Wynikiem była wojna cłowa; cła prohibicyjne wykluczały towary norweskie ze wschodnich rynków szwedzkich, a towary szwedzkie z zachodnich rynków norweskich. [1]). Wspólny kapitalizm norwesko-szwedzki został rozszarpanym, rzekłbyś poćwiartowanym żywcem. Wywóz towarów norweskich do Szwecyi spadł z 26 milionów koron w r. 1897 na 15 milionów koron w r. 1898!

Ale przecież jasnem jest dla każdego człowieka logicznie myślącego, że takie potworne zdarzenia mają tylko łudzące pozory rzeczywistości historycznej; w rzeczywistości są to tylko cienie, przesuwające się po odwiecznej skale historyi, ale nie zmieniające kształtu skały, chyba w oczach dzieci. Jeśli owe bękarty szlacheckie się przechwalają, że wojna cłowa ze Szwecyą zbogaciła ich kraj, bo spowodowała nowy potężny rozwój przemysłu norweskiego, [2]). to jest to tylko dowodem, do jakiej bezwstydnej głupoty mogą dojść zwyrodniałe mózgi szlacheckie. Jeśli cyframi dowodzą, że straty na rynkach szwedzkich poniesione już po roku odbiła sobie Norwegia więcej niż dwukrotnie zwiększonym wywozem do Anglii i Niemiec, [3]) to oczywiście kłamią. W rzeczywistości najsłabszej wątpliwości ulegać nie może, że sadystyczne okrucieństwo, popełnione w r. 1897 na wspólnym kapitalizmie norwesko-szwedzkim, doprowadziło przemysł norweski do ruiny doszczętnej, a dawniej kwitnącą Norwegię uczyniło krajem czarnej, żebraczej nędzy. Nie ulega kwestyi, że proletaryat norweski został zdegradowany na *lumpenproletaryat* bezdomny, zdziczały, pozbawiony ostatniej iskry godności ludzkiej. Nie ulega kwestyi, że w tym kraju, dawniej słynącym z cnoty i czystości obyczajów, obecnie przepełnione są szynki, lupanary i więzienia. Nie ulega kwestyi, że wraz z upadkiem przemysłu nastąpił także zanik kultury umysłowej; naród podupadły, zdemoralizowany, pogrążony w ciemnocie i analfabetyzmie, do tego stopnia zobojętniał dla literatury i sztuki, że zagrożony śmiercią głodową,

[1]) Ob. Norway, official publication i t. d., str. 394: The common industrial market was thus dissolved, and mutually prohibitive tariff rates took its place... (Tak więc wspólnota rynku przemysłowego została rozwiązaną, a miejsce jej zastąpiły wzajemne cła prohibicyjne...). Porównaj także str. 414.

[2]) Ob. Norway, str. 394 i str. 385—388.

[3]) Ob. Norway, str. 429.

Björnson stał się szynkarzem, a Ibsen handlarzem dziewcząt. Jeśli owi drobnoszlacheccy intryganci, kierujący nieszczęśliwą Norwegią, w r. 1905 tak daleko posunęli swoją zbrodniczą przewrotność, że do pierwszej zbrodni dodali drugą, straszliwszą jeszcze, że w osiem lat po wypowiedzeniu unii cłowej wypowiedzieli jeszcze i unię polityczną—to ta ostatnia orgia awanturnictwa politycznego tylko całkiem bezkrytycznego obserwatora łudzić może. W rzeczywistości z całą pewnością spodziewać się należy, że ministrowie norwescy, których powszechna nędza kraju nauczyła szacunku dla lekceważonych przez nich odwiecznych praw rozwoju ekonomicznego, na klęczkach się zawloką do zamku królewskiego w Sztokholmie a prochem i popiołem obsypawszy swoje grzeszne głowy, z płaczem w głosie błagać będą króla Oskara, aby przywrócił dawny, błogi stan rzeczy z przed r. 1897 i ścieśnił na nowo węzły, łączące Norwegię z jej przyrodzonymi rynkami wschodnimi...

Jakto, śmiejesz się, czytelniku? Przeczysz odwiecznym prawdom? Twierdzisz, że nic takiego się nie dzieje, ani dziać nie będzie? Śmiesz twierdzić, że już samo uporczywe dobijanie się o odrębne konsulaty norweskie, jako o sprawę pierwszorzędnej wagi, jest dowodem, jak świetnie się rozwija i przemysł i handel wywozowy wyodrębnionej Norwegii od czasu separacyi cłowej? Twierdzisz, że właśnie dzięki ustanowieniu samodzielnego terytoryum cłowego Norwegia jest dzisiaj bardziej przemysłową, niż Królestwo Polskie, i że o zdrowym rozwoju przemysłu świadczy bodaj coraz szybszy rozrost organizacyi robotniczych norweskich? Ośmielasz się wskazywać Węgrów, wołających: „Eljen Norwegia!“, bo właśnie przykład pomyślnie przeprowadzonej separacyi cłowej i politycznej w Norwegii dodaje im otuchy do przeprowadzenia całkiem podobnej separacyi u siebie? Masz czelność twierdzić, że Norwegia wciąże jeszcze jest znakomitym ośrodkiem kultury umysłowej, oświaty ludowej i wszelkiego rodzaju postępowych ruchów kulturalno-etycznych? Dowodzisz, że żaden inny kraj o tak szczupłej liczbie ludności (wszak Norwegczyków jest mniej na świecie, niż Litwinów!) tak hojnie nie wzbogacił kultury ogólno-europejskiej, jak ta Norwegia, z iście góralskim uporem od stu lat do całkowitej niezawisłości dążąca? Ba, ośmielasz się nawet insynuować, jakoby ministrowie norwescy wcale nie byli bękartami szlacheckimi, i jakoby ich polityka wcale nie była ani drobnoszlachecką, ani wielkoszlachecką, tylko poprostu demokratyczną? Wbrew wnioskom, opartym na odwiecznych prawach nauki, utrzymujesz, że Björnson i Ibsen do tej pory pozostali całkiem zacnymi literatami, poważanymi przez cały świat?

Jeśli tak, to jesteś heretykiem! Niema już i nie będzie zbawienia dla grzesznej twej duszy. Bądź potępionym na wieki! Czekają cię katusze stokroć straszniejsze od ognia piekielnego: skazanym będziesz na wieczne czytanie artykułów Warskiego!

Ceterum censo, Warskium esse virum clarissimum—czyli po polsku: po za tem stwierdzam, że Warski jest gienialnym uczonym.

Katon.

Co się dzieje w Japonii?

—h—

W miesięczniku angielskim *Wordl's Work* czytamy ciekawe szczegóły o zabiegach narodu japońskiego w celu ulżenia krajowi w jego krytycznem położeniu i zaspokojenia jego potrzeb. Prócz wielu ludnych stowarzyszeń, zorganizowanych dla niesienia pomocy służącym w armi i flocie, po wszystkich miastach i wsiach Japonii potworzyły się miejscowe związki, najczęściej tajne, starannie kryjące się ze swą działalnością. We wsi np. Nakahawa istnieje „tajne stowarzyszenie oraczy”, do którego należą wyłącznie ludzie młodzi; ci nocą, wówczas kiedy ich nikt widzieć nie może, wychodzą na pola niezaorane wskutek przebywania właścicieli ich na wojnie, uprawiają je, obsiewają, pomagając w ten sposób rodzinom, pozbawionym rąk roboczych, które własnemi siłami nie podołałyby tej pracy. Dzięki tym związkom młodzieży rolnictwo w Japonii nic nie ucierpiało wskutek wojny, choć w wielu miejscowościach prawie wszyscy robotnicy dorośli poszli do wojska. W okręgu Kioto młodzież szkolna, po ukończeniu zajęć w klasach, szła w pole dobrowolnie pomagać w robocie rodzinom wieśniaków, powołanych do szeregów walczących. Uczniowie ci zrzeszają się również w stowarzyszenia pomocy. Wszędzie w Japonii najwyższem staraniem i opieką otaczają rodziny żołnierzy. Jeśli one nic posiadały ziemi, osadzano je na jakimbądź folwarku i wydzielano im kawał gruntu; mogącym zajmować się jakiemś rzemiosłem, dawano na początek niewielką pożyczkę. Wszystko to jest dziełem stowarzyszeń wzajemnej pomocy, istniejących w każdym zakątku Japonii, w najmniejszej nawet wiosce. Ludność okręgów Osaga i Chiogo jednomyślnie cały handel przedmiotami domowego użytku jak zapałki, mydło i t. p. oddała rodzinom żołnierskim, które wskutek tego mają byt całkiem zabezpieczony.

Niemniej ciekawym objawem jest powstawanie wielu pożytecznych przedsiębiorstw przemysłowych jako „pamiątka wojny”. Szeroko rozpowszechnione broszurki i odezwy przepełnione są wezwaniami do tych „którzy zostali w domu i nie poszli na wojnę, a więc obowiązani są żyć skromnie i wszystkie swe siły i środki oddać na służbę społeczeństwa w celu uwiecznienia wspomnienia wielkiej wojny jakimkolwiek pożytecznym i podniosłym czynem, dla szczęścia i sławy ziemi ojczystej”. Za taki czyn uważa się popieranie przemysłu krajowego. Skutkiem tego w okręgu np. Kioto wzniesiono na pamiątkę wojny nowy gmach, zaopatrzony we wszelkie najświeższe udoskonalenia przemysłu jedwabniczego, a rodzinom po wsiach rozdano jedwabniki i wszystko co jest potrzebne dla rozwinięcia ich hodowli. W okręgu Taijama znowu zawiązał się „na pamiątkę wojny” komitet w celu popierania rolnictwa i rozpowszechnianie nowych sposobów uprawy ziemi, której ani jedna piędź nawet nie powinna leżeć odłogiem. Takie same komitety „na pamiątkę wojny” powstały w Fokuszimie, Tokuszimi i in. dla popierania wyrobów japońskich, wyrabiania „tapy” i t. p. przedmiotów. W okręgu Sziga, na jeziorze Riwa i Jogo, w miastach i wsiach leżących wzdłuż tych wybrzeży pozakładano nowe środowiska dla przemysłu rybnego, wszędzie wogóle wprowadzono nowe sposoby mające się przyczynić do rozwoju tej gałęzi gospodarstwa krajowego. W okręgu Tokio powszechnie odbywają się mityngi i odczyty publiczne, mające zaznajamiać słuchaczów z przebiegiem obecnej wojny, z wszystkiemi związanemi z nią sprawami; przyczem każdy z przemawiających nie zaniedba nigdy zwrócić się do zebranych z wezwaniem do łączenia się, zrzeszania, ażeby kraj nietylko nie ucierpiał od przygniatających go ciężarów, lecz przeciwnie z obecnego przełomu wyszedł jeszcze silniejszym i bardziej kwitnącym. Dlatego też w każdem miasteczku i w każdej wiosce powstają towarzystwa dla popierania rolnictwa i przemysłu, odbywają się odczyty, w których poruszane są różne kwestye, ich dotyczące, i tym sposobem rozwój gospodarczy kraju idzie ręka w rękę z oświeceniem ludności.

„Wojna nie powinna powstrzymać Japonii na drodze postępu; przeciwnie—pchnąć ją dalej”—głosi każdy mówca na mityngu lub odczycie; a każdy ze słuchaczów odchodzi z przekonaniem, że powinien czemkolwiek przyczynić się do tego postępu, i że tym swoim czynem taki sam złoży dowód miłości ojczyzny jak ci, którzy idą walczyć za nią na polach Mandżuryi.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Biedna wolność.

Jednym z największych smutków swobody jest to, że ona bardzo często między swoimi wielbicielami widzi rozmaitych nieponiów. Ja także chcę wolności!—krzyczy potwarca, demoralizator, ogłupiacz, rozbójnik dziennikarski. Wychodzi we Lwowie dziennik poprostu podły, który swoich przeciwników obmazuje ciągle oszczerstwami; gdy oni wreszcie, straciwszy cierpliwość, napadli redakcyę, oburzony zawołał: „Oto jest ich wolność słowa!” Powinieneś, czytelniku, pamiętać, że jeśli cię ktoś publicznie oskarży o kradzież, oszustwo, morderstwo, sodomię i zdradę stanu—to on tylko korzysta z wolności słowa, której nie powinieneś ograniczać ani kijem, ani sądem, ani rewolwerem. Tego świętego przywileju, którego sam szeroko używa, broni *Goniec* i to na wypadku z owem pismem lwowskiem. Twierdzi on przytem, że nasze „społeczeństwo stwarza dla prasy warunki życia nieznośne“ i że, jeżeli kiedykolwiek usunięte zostaną hamulce urzędowe—„w roli dotychczasowego czynnika zewnętrznego wystąpią jednostki i grupy, usiłujące zdusić wszelką myśl krytyczną.“ Nie przeczymy, ale z pewnością śród tych „huliganów” znajdzie się *Goniec*, który swoją misyę polityczną pod obecnem kierownictwem rozpoczął od napaści na jednego z publicystów *Prawdy* dlatego tylko, że domyślał się w nim przeciwnika. I takie organy upominają się o prawo wolności słowa! Biedna wolność! *h.*

Sprawa koedukacyi

Podniesiona na łamach *Kuryera Codziennego* sprawa koedukacyi, zmienia kwestyę szkolną radykalnie, dając wychowaniu nowe podstawy. Nie będę tej sprawy rozpatrywał z punktu teoretycznego. Jest ona dość już znaną. Idzie mi o sprowadzenie jej na grunt rzeczywistości, lękam się bowiem, aby i w tym wypadku nie przybył nam jeszcze jeden projekt więcej na papierze. Mówi się u nas o przeróżnych szkołach prywatnych. Czyż to nie byłby najlepszy sposób zapoczątkowania nowego systemu? Zapewne sprawa nie jest łatwą, nie usunie ona wszystkich ujemnych objawów kultury naszej, lecz przez postawienie stosunku dwu płci na gruncie normalnym, pchnie naprzód uzdrowotnienie stosunków ogólnych. *v.*

Sądy doraźne.

Od dłuższego czasu jesteśmy świadkami sądów doraźnych nad różnego rodzaju przestępcami. W tem ciekawem zjawisku przykro uderza fakt, że często rozprawa kończy się śmiercią i ranami. Taka straszna kara spada na istoty ciemne, wyrosłe w nędzy i brudzie, nieznające słońca i światła—które istotnie same są przedewszystkiem ofiarami niezdrowych warunków społecznych, w jakich żyjemy. Rzecz bolesna, że tyle energii marnuje się na wykonywanie tego rodzaju wyroków, że rozpryskuje się ona, zamiast koncentrować—tem boleśniejsze, że pod osłoną samoobrony i na równi z nią działają instynkty zbrodnicze, dzieje się załatwianie rachunków osobistych, występują zemsta i inne nizkie pobudki. *t.*

Memoryał ziemian wileńskich.

Wilenskij wiestnik ogłosił tekst memoryału, uchwalonego na ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego wileńskiego w d. 16-ym czerwca r. b. i przesłanego do rady ministrów. Za materyał do uchwały posłużył referat, przedstawiony ogólnemu zebraniu przez adwokata Wróblewskiego.

Memoryał brzmi:

„Na żądanie jego cesarskiej Mości, zwrócono w Ukazie na imię senatu rządzącego z d. 3-go marca r. b. do wszystkich obwateli, dbałych o wspólny pożytek państwa, uważa za swój obowiązek zabrać głos Towarzystwo rolnicze wileńskie w tem przekonaniu, że wobec braku w gubernii wileńskiej organów samorządu ziemskiego, głos jego będzie niezawodnie wyrazicielem opinii publicznej znacznej części ludności miejscowej. Wychodząc ze stanowiska bezpośrednich potrzeb naszego kraju, Towarzystwo uważa za najpilniejszy środek w stosunku do naszego kraju zniesienie całego szeregu ograniczeń praw obywatelskich i społecznych ludności miejscowej, których istnienie stanowi niezwalczoną przeszkodę na drodze ekonomicznego i kulturalnego rozwoju kraju, oraz zaprowadzenie w nim porządku prawnego na mocnym fundamencie praw, a mianowicie:

1) Zniesienie wszelkich nieskasowanych przez Ukaz z d. 14-go maja 1905 r. praw i rozporządzeń administracyjnych, ograniczających prawa cywilne ludności miejscowej w zakresie nabywania praw własności, korzystania i rozporządzania własnością nieruchomą oraz w zakresie kredytu ziemskiego w zależności od pochodzenia i wyznania.

2) Ostateczne i jaknajszybsze rozstrzygnięcie wszelkich sporów, powstających między właścicielami ziemskimi a włościanami, jako to: ograniczenia nadziałów włościańskich, serwituty, szachownice, tudzież właściwe naszemu krajowi spory właścicieli ziemskich z czynszownikami, ludźmi wolnymi i wyznawcami starego obrządku.

3) Zniesienie wszelkich ograniczeń, utrudniających niezależność społeczną w zakresie możności tworzenia związków, towarzystw i spółek dla celów ekonomicznych, społecznych i kulturalnych.

4) Wprowadzenie bezstanowych instytucyj ziemskich, opartych na zasadzie wyborczej, z prawem równego w nich udziału wszystkich mieszkańców bez różnicy.

5) Zniesienie stanowej odrębności włościan, poddanie ich ogólnym prawom cywilnym i karnym oraz połączenie ich z pozostałemi częściami ludności we wspólnej gminie bezstanowej.

6) Zniesienie wszelkich ograniczeń w zakresie praw służby państwowej, społecznej i prywatnej, opartych na różnicy pochodzenia i wyznania.

7) Zniesienie wszelkich ograniczeń co do używania języka ojczystego, z prawem wolnego nauczania w języku ojczystym uczniów.

8) Zniesienie wszelkich ograniczeń, nie skasowanych przez Ukaz z d. 30 kwietnia 1905 r. w zakresie publicznego odprawiania obrządków każdego wyznania i wznoszenia świątyń bez przeszkód; uwolnienie duchowieństwa wszelkich wyznań od samowoli władz administracyjnych i zrównanie go w prawach z pozostałemi częściami ludności, oraz zupełna wolność wyznania wiary i wychowania w niej dzieci zgodnie z przekonaniem sumienia.

9) Zrównanie praw obywatelskich, społecznych i politycznych wszystkich stanów naszego kraju bez różnicy wyznania i pochodzenia z prawami tychże stanów na całym obszarze państwa.

Rękojmię trwałości zniesienia wymienionych ograniczeń społeczeństwo widzi jedynie w udziale naszego kraju w pracach prawodawczych za pośrednictwem swobodnie wybranych przedstawicieli. na zasadach równouprawnienia wszystkich mieszkańców bez różnicy narodowości, wiary i stanu przy zapewnieniu im zupełnej wolności osobistej".

Ciekawa rzecz, ile też autorowie memoryału włożyli w niego nadziei?

BADANIA NAUKOWE

Wzdłuż i wszerz dziedziny badań przyrodniczych.

Pan Rabaud poddaje krytyce doktrynę włoskiego antropologa Lombroso, podług której geniusz i obłąkaniec noszą wspólne piętna zwyrodnienia i tem samem stają się typami pokrewnymi pod względem ustroju cielesnego. P. Rabaud stanowczo utrzymuje, że doktryna ta nie znosi konfrontacyi z faktami dokładnie poznanymi, że opiera się ona na wnioskach dowolnych i spostrzeżeniach powierzchownych oraz na niedokładnej znajomości faktów na które się powołuje jej twórca. Dla ilustracyi swej opinii wskazuje p. Rabaud Augusta Comte'a, który bez zaprzeczenia był geniuszem i jednocześnie cierpiał na obłęd, że aż musiał przebywać w zakładzie dla obłąkanych. Tymczasem dokładniejsze i krytyczne rozpoznanie tego wypadku w niczem doktryny Lombroso nie popiera.

Dzięki szczegółowemu studyum o Auguście Comte'cie, opracowanemu p. Georges Dumas w książce p. t. „Psychologie des deux Messies" można się przekonać, że przemijający stan obłąkania nie miał żadnego wpływu na genialne koncepcye myślowe Comte'a, że stany te: obłędu i genialnej twórczości nie przenikały się wzajemnie i nie współistniały, a jedynie kolejno następowały po sobie. Wiele objawów z życia Comte'a, cytowanych jako psychopatyczne, przestaje być takimi skoro bliżej się pozna jego dzieje; znajdują bowiem wytłomaczenie w psychologii normalnych ludzi. Wiele z tych objawów rzekomo psychopatycznych podlegało jego kontroli i woli; niejednokrotnie zwalczał on je racyonalnymi i obmyślanymi środkami, będąc ich świadom.

Pan Picaud porusza temat z zakresu niezrozumiałych dotąd, mianowicie: właściwy wielu zwierzętom t. z. „kolekcyonizm", polegający na gromadzeniu przedmiotów, niezrozumiałej i podejrzanej dla gromadzących użyteczności. Objawy takiego kolekcyonizmu spostrzeżono prawie u wszystkich rodzajów zwierząt: u robaków (dżdżownice), u stawonogów (mrówka, pszczoła. Scarabaeus, Gymnopleurus, Sisyphus), u ptaków (kruki, krogulce, sroka, kawka), u ssaków (wewiórka, mandryl, Cercopithecus z pośród małp, świstak, niemal wszystkie gryzonie. Temat ten poruszał już Mingazini oraz głośny badacz duchowości i obyczajów zwierząt Romanes. Ten ostatni w tym względzie ustanowił hypotezę, zasługującą na uwagę, którą p. Picaud podziela. Romanes wyraził pogląd, że kolekcyonizm u zwierząt jest świadectwem szczątkowego psychizmu podobnie jak szczątkowe organy są pozostałością narządów, których czynność w przeszłości logicznie związana była z życiem zwierzęcia. Kolekcyonizm w życiu rodowych poprzedników, praktykujących go zwierząt, znajdować mógł racyę bytu, którą dziś jako objaw szczątkowy utracił. Do rzędu objawów kolekcyonistycznych zalicza się i porywanie jednych zwierząt przez drugie zupełnie odmiennego gatunku lub rodzaju. Mingazini objaśnia przywiązanie zwierząt do okazów odmiennego gatunku i porywanie ich niezaspokojonym instynktem rodzicielskim. Popędy pieczołowitości i troskliwości skierowane na zwierzę porwane i usynowione znajdą przytem ujście i zapewne ten surogat quasi-rodzicielstwa ulgę jakąś im przynosi. Mingazini'emu nasunęła tę myśl ta okoliczność, że zauważono takie porywania przeważnie u zwierząt dzikich, trzymanych w niewoli przez człowieka. W żądzy porywania jaskrawych i błyszczących przedmiotów p. Picaud upatruje poszczególny objaw ogólniejszego zjawiska, jakiem jest „fototropizm" u zwierząt. Bordier znów ze swej strony uważa kolekcyonizm zwierząt za ten sam rys namiętności kolekcyonistycznych u normalnego człowieka, ujawnionych w muzeach, w mnóstwie bezużytecznych drobiazgów, wypełniających buduary, pewną zaś ilość faktów objaśnia on estetyzmem sexualnego pochodzenia. Wszystkie postacie kolekcyonizmu u zwierząt jakie zanotowali Buffon, Darwin, Brehm, Lindsay i inni, odnajdujemy i u człowieka w stanie psychopatyi, nie wyłączając bezcelowego gromadzenia kału. Najpospolitszą formą kolekcyonizmu jest zbieranie żywności w ilości nadmiernej. Rzecz uderzająca, że gdy dla problematycznego zaspokojenia głodu rodzicielskiego zwierzę porywa okaz odmiennego rodzaju, to ofiarności swej nie posuwa ono nigdy tak daleko, ażeby poświęcać swoją żywność na rzecz porwanego ulubieńca. Jako ilustracyę osobliwego kolekcyonizmu u zwierząt wspomnimy szczegół, zanotowany u Lindsay'a w pracy „Mind in lower animals". Opisuje on tam gniazdo polnego szczura kalifornijskiego, w którem znaleziono gwoździe ułożone symetrycznie, ustawione ostrym końcem nazewnątrz gniazda. następnie dwa tuziny noży, widelców i łyżek rozmaitego gatunku oraz ilości, trzy rzeźnickie noże, starą portmonetkę z pieniędzmi, tytuń, sprężynę i futerał od zegarka.

P. Buschan zadał sobie trud zbadania w jakiej zależności znajduje się mózg od postępu kultury. W tym celu porównywał on pojemność 218 czaszek z epoki kamienia gładzonego, 36 czaszek z I stulecia naszej ery, 390 czaszek z XI i XII, 340 średniowiecznych czaszek z pojemnością czaszek dzisiejszych Paryżan i dzisiejszej ludności nadreńskiej. Poszukiwania te doprowadziły go do wniosku, że ze wzrostem kultury powiększają się wymiary mózgu, lecz jednocześnie wzmaga się procent chorób umysłowych, jak to statystyka za ostatnie pięć dziesięcioleci wskazuje. Co się tyczy rasy murzyńskiej, to według statystyki Stanów Zjednoczonych zniesienie niewolnictwa i oddanie na pastwę współzawodnictwa między sobą i z rasą białą podniosło niepomiernie między czarnymi procent chorób

umysłowych. Tam, gdzie oni współzawodniczą tylko ze sobą i znajdują się w zwartej masie tam procent ten jest mniejszym. Zauważymy od siebie w tem miejscu, że paralelizm dat statystycznych, odnoszących się do dwóch następujących po sobie zjawisk życiowych, krytycznie sądząc, nie upoważnia jeszcze do tworzenia związku przyczynowego między niemi. Bacon dla wykrycia tego związku ustanowił surowsze wymagania, które jednak prawie zawsze są pomijane przez szafujących cyframi statystycznemi, nadającemi się do największych nadużyć. Nie przestrzegając reguł metody experymentalnej Bacona, można najekscentryczniejsze dziwolągi uzasadniać statystycznie, np. związek przyczynowy kaftaników flanelowych z urodzajnością kasztanów.

Namiętny myśliwy i wielbiciel przyrody Schilling powziął energiczną myśl z dobrym skutkiem przez niego wykonaną, mianowicie: chwytania aparatem fotograficznym momentów z życia dzikich zwierząt, podczas zasadzek myśliwskich i myśliwskiego czajenia się. Dzięki temu padło nowe i mało oczekiwane światło na zjawiska „mimicry", polegające na utożsamieniu barwy, desenia, a czasem nawet i kształtu zwierzęcia z barwą, deseniem i kształtem podłoża przyrodniczego, na którem dane zwierzę przebywa. Pierwszy Wallace zwrócił uwagę na te zjawiska i poglądy jego, z tego powodu wypowiedziane, nie zostały dotąd przez przyrodników zmienione, zanotowano tylko większą ilość faktów i spostrzeżeń z tej dziedziny. Jak wiadomo, zjawisko „mimicry", ułatwiające zwierzęciu ukrycie się przed okiem wroga i przed okiem ofiary na którą czyha, bywa albo zupełnem lub tylko połowicznem. W pierwszym wypadku zwierzę przybiera najwięcej awanturnicze kształty i zabarwienie. Początkowo sądzono, że są to zjawiska odosobnione, z czasem jednak okazało się, iż większy lub mniejszy stopień „mimicry" jest właściwy wszystkim zwierzętom. Zdawało się przy powierzchownem sądzeniu, że kolor jaskrawy, krzyczący, złożony z plam o zabarwieniu kontrastowem, jakie spostrzegamy u zebry, żyrafy, leoparda stanowi sprzeczność i jakoby zaprzeczenie zjawiska „mimicry". Spostrzeżenia Schillinga obalają to mniemanie; krytyczne zastanowienie się a priori mogło to przewidzieć. Przedewszystkiem przy rozmaitem oświetleniu i zmiennym kącie padających promieni słonecznych zabarwienie to się mieni i nie daje wrażenia stale jednych i tych samych barw. Obok tego odległość zmienia wrażenie barwy, jak na obrazach impresyonistycznych. Następnie pora dnia lub roku albo susza zmieniają koloryt stepu, zabarwiając go pstro całą gamą odcieni między szarobrunatnym a jaskrawo żółtym. W takich okolicznościach centki leoparda i żyrafy doskonale mogą być przez nie wyzyskane. Według świadectwa Schillinga nawet na tle zieleni zabarwienie żyrafy, zebry, leoparda doskonale je ukrywa. Przy stosownem oddaleniu i oświetleniu zebra staje się szarą, jeśli zaś rozpatrywać z małej odległości okazuje się, że jej czarne i białe pręgi, doskonale imitują świetlne i zacienione plamy, jakie krzaki i gałęzie lasu mimozowego tworzą, gdy słońce się przez nie przedziera. W nocy, kiedy przeżuwającym stepu afrykańskiego największe grozi niebezpieczeństwo ze strony drapieżców, barwa żyrafy i zebry jeszcze lepiej zapewnia incognito tym osobliwym zwierzętom. O zmierzchu, lub podczas nocy księżycowej, konfiguracya żyrafy przyczynia się do utajenia jej przed okiem prześladowców. Z nastaniem zmroku jej sylwetka z oddali harmonizuje doskonale i zlewa się z sylwetką gatunku akacyj, pośród których się pasie, dostrajając się do zarysów kępy drzew. Chcąc podpatrzeć i wyszpiegować życie zwierząt, człowiek powinien dla utajenia się przed okiem zwierzęcia używać sztucznej mimicry: Myśliwi i łowcy, tak dzicy jak cywilizowani, uciekają się do tego środka w celach łupieskich. Jeżeli piszący te słowa miewał możność podpatrzeć w puszczy brazylijskiej tamtejsze okazy zwierzęce, to zawdzięcza to jedynie spokojnemu zachowaniu się i dobrze zniszczonej odzieży, nieodskakującej od kolorytu wnętrza leśnego. Trzeba bowiem wiedzieć, że dzikie zwierzę nietrapione myśliwskiem prześladowaniem człowieka, nie lęka się go, a nawet prześladowane często umie swą inteligencyą ocenić, czy mu ze strony napotkanego grozi niebezpieczeństwo, czy nie. Przez ostrożność raczej pierzcha przed człowiekiem, niż ze strachu. Obok tego wszystkim wyższym zwierzętom właściwą jest ciekawość i zastanowienie, które je na pewien czas przykuwają do miejsca, żarłoczność zaś, pragnienie i głód miłosny a nawet tylko nałóg dreptania po jednej i tej samej ścieżce, uznanej za bezpieczną, narażają je na zetknięcie się z człowiekiem, bowiem żądza i potrzeba wszelki strach przezwyciężają. Pan Tornier dzieli się spostrzeżeniami nad osobliwymi objawami życia u wschodnio-afrykańskich kameleonów. Gatunek, zwany *Rhamholeon brevicaudatus* zabarwieniem i kształtem upodobniony jest do liści, wśród których przebywa. Jaskrawa, maleńka tęczówka dużego, wyłupiastego oka zaznacza ostrożne poruszenia tego zwierzęcia. Jest to osobliwe oko kameleonów, które patrzy, ale nie widzi. Natomiast czuje ono najlżejsze poruszenia owadu, znajdującego się w poblizkiem sąsiedztwie. Oczy te mają jeszcze i tę niezwykłą właściwość, że poruszają się niezależnie od siebie; gdy jedno spoziera naprzód, drugie jest zdolnem zwracać się i wyczuwać poruszenia od strony tylnej. Gatunek *chameleon Jacksoni*, zdobycz swą chwyta błyskawicznem wysunięciem długiego, na końcu lepkiego języka, którym z niechybną celnością trafia w swą ofiarę. Język ten jest utworzonym z pierścieni mięśniowych nanizanych na koniczną powierzchnię kości gnykowej, z której przy skurczu ześlizgują się. Do osobliwości tegoż kameleona należy kąpanie się w słońcu, wystawianie ciała swego na działanie najsilniejszych jego promieni tropikalnych. Użyteczność i fizyologiczna potrzeba, skłaniająca zwierzątko to do pożądania fotochemicznego działania światła, nie są jeszcze znane. W celu powiększenia wpływu promieni słonecznych wygina ono swe ciało tak, ażeby one padały prostopadle. Jednocześnie z tem spłaszcza się tak silnie, że staje się przeświecającem, niemal przezroczystem. Zacieniona powierzchnia ciała zachowuje barwę zieloną, oświetlona zaś ciemną. Przez czas trwania tej kąpieli słonecznej zwierzątko zapada w sen, zwróciwszy oczy ku dołowi i pogrążywszy je w cieniu kosteczek. Takie to są dziwy życia.

Aleksy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

GABRYELA REUTER.

Piękno jest to bezbrzeżny, bezdenny ocean; pełno na jego powierzchni fal przeróżnej postaci, pełno wirów, prądów, burzy i zawiei. Królestwo jego wznosi się ponad tak zwanem życiem bieżącem, ponad starciem się ogólnoludzkiem w deptaniu około drobnych spraw, drobnych w porównaniu z piękna nieśmiertelnego wielkością. Lecz piękno wypływa z całości życia, jako utajona w wszelkim jego przejawie siła. Najdrobniejszy pyłek ma w sobie pewną, potencyalną jego zawartość.

W poezyi współczesnej słowa najbardziej pociąga dążenia artystyczne—piękno wewnętrznej treści duszy ludzkiej. Po za pięknem kształtu, będącem symbolicznem uzewnętrznieniem utajonej skarbnicy ducha, poeta dziś sięga do bezpośredniego źródła piękna duszy; nieznane dotąd wstrząśnienia i wzruszenia, stany po za wszelkiemi kategoryami są dlań czarownym zamkiem, skąd czerpie treść dla swego twórczego słowa.

Psyche ludzka piękną jest różnorodnie. Najwyższy jej przejaw—to dusze silne wewnętrzną swą treścią, świadome swej mocy uczuciowo-intelektualnej, świadome swej odrębnej samodzielności, bogate tą swoją odrębnością, czerpiące z własnej głębi skarby nieprzebrane. Niektórzy jeszcze świadomości takiej nie posiedli, lecz choć nieświadomie, żyją życiem indywidualnem. Inni zaś—ci, którzy nie mają własnej siły wewnętrznej, ci zimni, niezłożeni, są tylko jako te planety, które świecą odblaskiem promieni słońca, a same własnego piękna nie mają — w skromnem ich życiu wewnętrznem, w tej szczupłej sumie najprostszych odruchów znajdujemy czarną rudę, w której tylko czasem przebłyśnie żyłka kruszczu cenniejszego.

Przyjmują oni od innych gotowy szablon automatycznego życia wewnętrznego, gdyż ono jest niezbędne dla całości funkcyi organizmu. Na nich zatrzymuje się echo pieśni tych, którzy są tak silni pięknem, zawartym w ich duszy, że przełamują okowy milczenia i—tworzą.

Na jednostkach przeciętnie odczuwających piękno, opiera się to, co zwać możemy — poziomem estetycznym danej epoki. Zdolność odczuwania przejawów piękna, zawartego zarówno w tworach artysty, jak i w życiu bezpośrednio przemawiającem, stanowi o stopniu subtelności w reagowaniu na wzruszenia estetyczne. Zaś ten stopień wrażliwości orzeka o wysokości tego poziomu. Gdy dusze ludzkie choć na chwilę budzi z uśpienia głód piękna niezaspokojonego jarmarczną tandetą, wtedy piękno wytryska z ich szarej „beztreściwej treści" i idzie na spotkanie głosom twórczym.

Gdy dusze ludzkie bawią się leniwie byle zwierciadłem a bajdami ulicznemi gaszą promienie piękna—wtedy dzieje się to, co mamy obecnie przed oczami.

Dziś, po za szczupłą garstką natur głębokich i wrażliwych, o sztuce gawędzi cała masa intruzów, niemrawo i nieumiejętnie naśladujących to, czego ani zrozumieć, ani odczuć nie mogą. Między wyżynami a nizinami leży wielka przestrzeń. Zaledwie czasem słabo zadźwięczy echo pieśni, płynącej ze szczytów. Chwytają to echo skwapliwie przeróżni, popularni literaci i na niem opierają swe—powieści.

Większość z nich stoi całkowicie na gruncie—wymagań targowych. Oparci o ladę kramiku, pilnie naśladują ruchy i gesty przechodniów, rzucają w ciżbę żarty, mile łechcące niewybredne podniebienie i bawią tłum, schlebiając jego niskiemu poziomowi (tłum ten to większość „inteligentnych" czytelników). Inni mają więcej godności osobistej. Mile słuchając pochwał, usiłują oni zachować choć pozory niezależności, stoją bowiem na pół drogi. Nie jeżdżą oni po jarmarkach i nie handlują głośno swemi utworami, bo mają w sobie pewien kult dla wyżyn, brak im tylko skrzydeł, brak im mocy do wzlotu, wreszcie dostatecznej siły ducha, aby stworzyć świat własny i oprzeć na nim swą działalnoś-

Utwory ich to tłomaczenie na język lekkostrawny treści kulturalnej epoki, „udostępniającej” piękno, zawarte w „niezrozumiałych przemówieniach mistrzów”.

Tego pokroju powieściopisarze ciekawi są, jako ci właśnie, w których utworach najwidoczniej załamują się promienie prawdziwego piękna przez pryzmat przeciętności ludzkiej i jako tacy zasługują oni na uwagę.

Do tych autorów należy popularna w Niemczech Gabryela Reuter.

Jest to kobieta inteligentna, obdarzona sporą zdolnością spostrzegawczą, unikająca zręcznie grubszych efektów. Talent jej polega raczej na umiejętności przystosowywania się do wymagań mody literackiej, niż na samodzielnej twórczości; zasługuje ona na uwagę właśnie jako jedna z tych, którzy stoją na pół drogi. Jak i inni jej bracia „duchowi”, Gabryela Reuter jest bardzo czuła na panujące prądy, ściśle się trzyma najmodniejszego systemu pisania; zręczność jej polega na używaniu nowych środków technicznych z pominięciem tego wszystkiego, co mogłoby podrażnić przyzwyczajenie czytelników. Liczenie się z tymi ostatniemi to wybitna cecha wszystkich pseudomodernistów. Wskutek tego jej powieści nie są dziełem sztuki, powstałem pod wpływem natchnienia, lecz zręcznem kokietowaniem zarówno „moderniznu”, jak i mieszczańsko-ciasnego umiłowania—ciepłej wody. G. Reuter posiada ten kunszt żonglerski w wysokim stopniu. Dostrzega ona czasem pewne, głębsze rysy natury ludzkiej, przeczuwa inne życie duchowe, lecz—lęka się zbytniego wpatrzenia się w toń dla niej ciemną, lęka się zawrotu głowy i woli—prześlizgiwać się po powierzchni, woli stosować się do gustu swych czytelników.

Wszyscy tego rodzaju pisarze opierają się w swym rozwoju na prądzie realistycznym, który przeszedł do Niemiec z Francyi i zyskał uwielbienia młodego pokolenia z Arno Holz'em na czele. Popularni literaci zastosowali ten realizm do poziomu niemieckości, zatarli wszelkie jaskrawości, złagodzili dysonanse. Przybrał on z czasem nową postać, rozszerzył swój horyzont na psychikę duszy ludziej z zastosowaniem do potrzeb miejscowych. Lecz jak niegdyś zatracił on w Niemczech umiłowanie mocnych kontrastów, głośnych barw, tak i obecnie skupił się wyłącznie dokoła tak zwanego odzwierciadlania życia współczesnego. Powieści Gabryeli Reuter zawierają w sobie stosownie do tej recepty—kawał życia.

Życie jest czemś nieokreślonem, niedającam się ująć w pewne normy, więc przy jego odtwarzaniu pojawia się konieczność oparcia danego obrazu na pewnych tonach, czy barwach; niezbędnym jest tu wybór, niezbędna jest stylizacya. Istotę życia można tylko suggestyonować przez wywołanie pewnego nastroju; fotografowanie jej jest rzeczą—nieco ryzykowną. G. Reuter, usiłującą kopiować życie psychiczne, moc jego rozmachu odrzuciła na stronę, jakieś niejasne przebłyski pozostawił w jej pamięci orkan, naprzeciw którego wyszła ona z aparatem fotograficznym. Spryt jednak przykrył zmięszanie się i brak siły wzroku. Cała jej jaźń pisarska opiera się na paliatywach, ratujących wszystkich snobów. Ujmują oni swoje niby bezpośrednie odczucia życia w utarty szablon i operują nim, wskutek czego zyskuje się na pośpiechu, na „jasności”. Dlatego wszystkie jej postaci kobiece, które należą do najlepiej odtworzonych, są tak bliźniaczo do siebie podobne. Życie psychiczne dla G. Reuter, to pewne ilościowo i jakościowo określone przejawy duszy; w ich poczet zaliczyła ona i „najmodniejsze w danej dziedzinie wynalazki”. Przewaga fabuły, mającej interesować czytelnika swym ruchliwym migotem, zastępuje..zgłębienie istoty piękna, zawartego w duszy ludzkiej. Wiele tu słów, a mało treści artystycznej. Dość miła gadanina, nienużąca, nieraz pełna nawet smaku i wdzięku. Mechanizm nielicznych odruchów psychicznych zachwyca niewybrednych swą „prawdą”, „prawdziwością” i t. d.

Pomysły miewa G. Reuter interesujące. Pojmuje ona, że przeciąganie struny w uganianiu się za ciekawą fabułą, kompromituje szanującą się powieściopisarkę, umiejętnie więc wybiera swoje tematy. Powieści „Ellen von der Weiden”, „Frau Bürgelin und ihre Söhne” i „Aus guter Familie” są dobrze pomyślane: posiadają też one ustępy istotnie ładne. Brak im tylko całości, brak silnego natchnienia, któreby dało powieści plastykę prawdziwego dzieła sztuki. Przytym idzie ona za upodobaniem krytyki, która lubi przeprowadzenie jakiegoś założenia; co pozbawia autora swobody i skazuje go na robotę, zamiast improwizacyi.

G. Reuter zna tylko duszę kobiecą i to w dość szczupłym zakresie jej treści; nie wyczuwa ona nowych głosów, nie snuje nowych melodyj; niekiedy rzewnie serdecznie trąca strunę tęsknoty lub bólu. Czasem tylko przez zwykłą jej mowę przesunie się głębsze poruszenie, czasem zajęczy żywe cierpienie i prawdziwa rozpacz. Momentów tych jednak niewiele napotykamy w twórczości G. Reuter. Nastrój jej powieści razi jednotonowością. Maluje ona ustawicznie te same stany duszy na wzór specyalistek od malowania na porcelanie pewnych zwierząt lub kwiatów. Ukochała parę tonów i powtarza je. Ta właśnie gadanina obniża poziom artystyczny jej powieści i zbliża je tak bardzo do mieszczańskiej przeciętności. Mieszczańskość — w tem słowie zawiera się dziś wszystko, co jest wrogiem sztuce: niemoc duchowa, ciasnota, czułostkowość, „etyczność”, prostytucya ducha i ciała, pożyteczność i tak dalej i tak dalej. Więzy jej pętają najsilniejsze talenty i czynią je niezwykle wyblakłymi. Nużące gadulstwo zajmuje miejsce mowy twórczej, powierzchowna błyskotliwość—formy pięknej i szczerej.

Jedyną wartością prawdziwie artystyczną powieści Gabryeli Reuter są wspomniane ustępy. One dowodzą, że w duszy tej błąka się pewne światełko, lecz, że jest ono za słabe i za nikłe, ażeby mogło rozpłomienić stos cały. W ustępach tych serce ludzkie odzywa się cichym, ciepłym głosem, czy kiedy Ellen pije piękno gór, gdy wpatruje się w obrazy, czy kiedy Frau Bürgelin lub jej synowie wchłaniają w siebie piękne dzieła sztuki, wtedy na chwilę ciasnota zanika wobec szczerego, twórczego słowa. Lecz są to tylko ustępy, całość zaś mówi o czem innem.

Forma językowa Gabryjeli Reuter nie wykracza po za poprawną lekkość. Język jej jest ruchliwy, czasami nawet subtelny i barwny. Szkicuje żywo, prędkimi rysami prowadzi opowieść, która zaciekawia i zajmuje. Są to wszystko zalety przeciętne, właściwe większości powieściopisarzów współczesnych.

Ogółem biorąc cała jej działalność literacka wypowiada się w miłej kompilacyi, wdzięcznem opowiadaniu wrażeń, jakie inni odnieśli. Brak siły twórczej wyraża się w używaniu środków i środeczków technicznych, przewaga wpływu otoczenia—w wązkim szablonie nastrojów i spostrzeżeń. Prawdziwe piękno obce jest jej utworom. Znajduje się w nich ono tylko, jako nikła, złota żyłka w ogromie rudy szarej i martwej.

A jednak, choć powieści te nie posiadają wysokiego polotu artystycznego, choć nie są dziełem sztuki, zasługują na uwagę; są one typowem zjawiskiem powieściopisarstwa niemieckiego, zjawiskiem, które po odrzuceniu czysto lokalnych cech można dojrzeć w całej literaturze współczesnej. Odbijają one promienie piękna, płynące z wyżyn twórczych i rozpryskują je w odzwierciadlaniu dusz, nieposiadających własnego słowa twórczego. Świadczą one o pewnem wyrobieniu formy i szablonowo przeciętnej treści. To co niegdyś przejmowało zgrozą krytykę urzędową, dziś, skoro przez naśladownictwo zeszło do poziomu przeciętnego czytelnika, zostało uznane i zaaprobowane.

Powieści te prócz tego mogą być sprawdzianem stanu odczuwalności szerokich kół czytelników. Są one jak oni zepsucie naiwne, przeważnie płytkie, rzadko szczere. Jest w nich pewne pragnienie piękna, lecz jest też i uganianie się za rozrywką. Jako dokumenty, jako fotografie poziomu estetycznego ogółu, są one ważne i zasługują na uwagę. Streszczają bowiem wszelkie cechy tak zwanej inteligencyi, przejawy dusz słabych, apatycznych, nikłych, jak dzisiaj, dusz znacznej większości ludzi.

Zbigniew Brodzki.

Z PRASY.

„Echo burzy — czytamy w *Gońcu Łódzkim* — która szalała w Łodzi, nie zamilkło: brzmi ono w głośnych skargach fabrykantów, głośnych, bo rozlegających się aż na szpaltach prasy codziennej. Wołają oni: „eksport nasz zagrożony! eksport się zmniejszył niesłychanie! zagranica zabiera nam rynki! ona sprzedaje, a my pójdziemy z torbami!“ Na poparcie skarg znalazły się i liczby, zaczerpnięte niedawno z jakiejś statystyki. Wszyscy fabrykanci i rzemieślnicy obliczyli podobno, że ich wywóz spadł do 10 procent normalnego, a nawet półurzędowa „Torgowo-Promyszl. Gazeta” nie zawahała się zacytować jednej z najbardziej drugorzędnych gazet, która obrachowała w swych biurach statystycznych, że import zagraniczny wzrósł w trójnasób. A jakie sensacyjne puszczono w kurs zapewnienia! Ot, mówiono, zagraniczni dostawcy materyałów surowych odmawiają kredytu fabrykantom łódzkim, wskutek czego prawdopodobnie pół Łodzi najmniej zbankrutuje.

„A z drugiej strony pokazywano niewidzialne roje niemieckich agentów, którzy opanowali wrzekomo wszystkich odbiorców, przepowiadano założenie licznych składów i sklepów niemieckich w naszym kraju. Wreszcie zaczęto podejrzliwie spoglądać na wzmocniony w ostatnich czasach skup remes na zagranicę i upatrywano w tem argument „finansowy“ na rzecz wzrastającego importu cudzoziemskiego, a upadek przemysłu naszego. Lecz czy właściwie zgadza się to z rzeczywistością?

„Nie zaprzeczamy, że chroniczny stan bezrobocia ma głębokie skutki dla naszego przemysłu, a i w ogóle—gospodarstwa krajowego, ale z całą stanowczością powstać musimy przeciw niestworzonym bredniom, które przygodni ekonomiści lub „o obfitej ślinie“ kupcy narzucają ogółowi. Cofnięcie kredytu przez zagranicznych fabrykantów surowego materyału zostało nareszcie uroczyście włożone do bajek. Bajką jest również kolportowany wpływ bezrobocia na zmniejszenie się krajowego eksportu do Cesarstwa i wzrost zagranicznego importu.

„Przedewszystkiem musimy ustalić dwa niezbite fakty. Pierwszym z nich jest ten, że wszystkie fabryki łódzkie pracują pełną pracą, a mniejsze dzień i noc. Są one wprost zawalone obstalunkami i biorą ceny tak wysokie, że nietylko pokrywają zwiększone „przeszacowaniem wartości“ koszty produkcyi, ale i — „zmartwienie”. Drugim faktem jest stwierdzenie przez urzędową statystykę zmniejszenia wpływów celnych, które wyniesie w roku bieżącym minimalnie 60 milionów rb. Dwa te fakty niezbicie dowodzą nieprawdy twierdzenia, jakoby wywóz nasz się zmniejszał,

a przywóz zagraniczny wzrastał. Jest jednak w rozgłaszanych wieściach niewielka doza prawdy, zafałszowana wszakże tendencyjnie zmyślonem lub nieświadomie błędnem zabarwieniem. W jakiem więc oświetleniu na wspomniane wieści patrzeć trzeba?

„Rynki zbytu są niezwykle osłabione wskutek wstrząśnień wojennych. Pokup skurczył się do rozmiarów niezbędnych: w Cesarstwie kupują tylko artykuły pierwszej potrzeby, a wstrzymują się od nabywania rzeczy mniej koniecznych. Dlatego Łódź, która wyrabia artykuły koniecznej potrzeby, obliczone na zbyt pewny i szeroki, sprzedaje dużo i dobrze,—tembardziej, że zapasy u hurtowników rosyjskich się wyczerpały. Wyczerpały się zaś dla tej przyczyny, że i w Cesarstwie rachowano się z osłabieniem pokupu u ludności, a nadto fabrykanci łódzcy, nauczeni doświadczeniem i powodowani ostrożnością, odpowiadali na zapotrzebowanie hurtowników rosyjskich: „dobrze, ale—za gotówkę”.

„Jak widzimy, przemysł łódzki nietylko nie upadł, lecz przeciwnie, obecnie, o ile sądzić można z licznych, napływających z głębi Rosyi obstalunków, wzmaga się z dniem każdym, a fabryki, które wróciły do stanu normalnego, pracują bez przerwy, zatrudniając robotników w dzień i w nocy“.

W sprawie języka polskiego na kolejach *Warsz. Dn.* zamieścił artykuł następujący:

„Powstała niedawno kwestya co do wprowadzenia języka polskiego do rachunkowości i innych odłamów zarządu kolejowego na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, oraz na innych kolejach w obrębie kraju Nadwiślańskiego, pociągnęła za sobą różne powikłania, wprowadzając niaład do jednej z gałęzi gospodarki państwowej. Jak już wiadomo z kilku notatek, wydrukowanych w poprzednich numerach *Warsz. Dn.*, Rada zarządzająca kolei Warszawsko-Wiedeńskiej postawiła uchwałę co do jak najszerszego zastosowania języka polskiego w stosunkach służbowych na tej linii i, nie czekając na aprobatę tej uchwały przez władzę wyższą, czyli przez ministeryum komunikacyi, na co zresztą Rada liczyć nie mogłaby, odrazu wprowadziła tę uchwałę w wykonanie. Ztąd powstał cały szereg nieporozumień: a więc zastępcy dyrektora kolei, p. Durnowo, przedstawione zostały do podpisu asygnacye i rachunki sporządzone w języku polskim. Pan Durnowo odmówił podpisu, opierając się na „Ustawie ogólnej kolei rosyjskich“, czyli na przepisach jeszcze nieodwołanych i zachowujących swą moc obowiązującą w stosunku do kolei żelaznych okręgu nadwiślańskiego. Odmowa ta nie powstrzymała jednak od usiłowań wprowadzenia w życie zmyślonego nowatorstwa. Pp. Strasburger i Peel podpisali potrzebne dokumenty za dyrektora i, jak donosi *Kur. Codz.*, podpisywać będą na przyszłość wszystkie papiery, sporządzane w języku polskim.

Pomijając już to, iż z prawnego punktu widzenia podobnego rodzaju samowolne działanie zarówno Rady zarządzajacej kolei Wiedeńskiej, jako też podwładnych jej urzędników jest niedopuszczalne i nie mogłoby się zdarzyć w żadnym z państw europejskich, niepodobna jednocześnie nie zaznaczyć, że domaganie się wyrugowania z kolei żelaznej języka rosyjskiego jest zupełnie nieuzasadnione.

Nie wdając się w szczegóły, wskażemy pokrótce następujące artykuły ustawy: 1) Przy zatwierdzaniu Ustawy ogólnej Ros. kolei żelaznych Rada państwa orzekła, że „zarząd sprawami kolejowemi stanowi jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki państwowej”, skutkiem czego uznala za niezbędne podciągnąć pod działanie ustawy ogólnej urządzenie, eksploatacyę i gospodarstwo nietylko kolei skarbowych, lecz i *prywatnych*, pozostawiwszy w mocy obowiązującej tylko prawa *majątkowe* stowarzyszeń akcyjnych, nadane im z mocy koncesyi, z których korzystają na zasadzie uprzednio zatwierdzonych ustaw.

W dzienniku połącz. depart. Rady państwa pomiędzy innemi powiedziano: „lecz wyszczególnione ustawy prywatne i koncesye, ani z racyi swego znaczenia, ani z mocy zawartych w nich artykułów, bynajmniej nie zwalniają przedsiębiorstw kolejowych od stosowania do nich przepisów cywilnych i policyjnych”.

2) Niewiadomo dlaczego społeczeństwo uważa kolej Warsz.-Wiedeńską za kolej prywatną. Zdanie to jest mylne. Kolej Warsz.-Wiedeńska należy do skarbu i oddana jest jedynie w dzierżawę Towarzystwu Akcyjnemu.

3) Właścicielami akcyi Warsz.-Wied. kolei są w przeważnej większości Belgijczycy i Holendrzy, nie zaś mieszkańcy tutejsi. Lecz kwestya ta nie posiada szczególnego znaczenia. Akcye mogą być sprzedane, wskutek czego np. za kilka dni akcyonaryuszami tej kolei mogą być już kapitaliści moskiewscy, albo inne osoby, niemające blizkich stosunków z życiem kraju nadwiślańskiego.

4) Gdy znaczna większość pracowników kolei Warsz.- Wied. należy do rdzennych mieszkańców, to stąd nie wynika, ażeby przy zarządzie tą koleją nie był w użyciu język państwowy. Naprzykład na kolei Władykaukazkiej, od czasu wstąpienia na zarządzającego p. Kierbedzia, cały prawie zarząd zapełniony jest Polakami; czyli i tam należałoby zaprowadzić język polski.

5) Między innymi argumentami, powołują się na to, jakoby język rosyjski na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zaprowadzono na żądanie b. generał-gubernatora I. W. Hurki. W istocie, w tej kwestyi nie było żadnej inicyatywy Hurki, który tylko dopilnował, w porozumieniu z ministrem komunikacyi, żeby urzeczywistniło się to, co i przed nim powinno było mieć miejsce, z mocy ogólnych postanowień, obowiązujących na wszystkich kolejach w Rosyi.

6) Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej niepodobna uważać za przedsiębiorstwo prywatne i z tego także powodu, że dyrektor i jego zastępca mianowani są przez ministra komunikacyi, korzystają z praw służby państwowej, gdy tymczasem do roku 1892 byli oni jedynie przedstawiani do zatwierdzenia ministeryalnego.

A to stanowi znaczną różnicę.

7) Pozostaje jeszcze do wskazania, że w Najwyżej zatwierdzonem w dniu 19 (6) czerwca 1905 r. postanowieniu komitetu ministrów o „porządku wykonania punktu 7 Imiennego Najwyższego Ukazu z 12 (25) grudnia 1904 r. względem gubernii Królestwa Polskiego“ o drogach żelaznych nie wspomniano i jedyny wyjątek w sprawie korespondencyi, rachunkowości i wewnętrznej biurowości zastosowano na mocy punktu 10 do Tow. Kred. Ziemskiego w Królestwie Polskiem.

Dlaczegóż przekraczać granice możliwości?

Jeżeli np. majster kolejowy pośle do jakiego robotnika napisaną po polsku notatkę, chociażby w sprawach służbowych, któż zechce przypisywać faktowi takiemu ważne znaczenie, któż policzy to za naruszenie porządku zarządu państwowego? Lecz jeżeli oficer żandarmeryi, jak to miało miejsce po 1 (14) lipca i po postanowieniu rady zarządzającej, otrzyma zredagowaną po polsku depeszę służbową, to fakt taki będzie już usiłowaniem naruszenia ogólnego porządku życia państwowego, które w ważniejszych swych przejawach posługiwać się powinno samym językiem państwowym.

Do tej samej kategoryi czynów, na które zezwolić nie sposób, rozumie się, należy sporządzanie w języku polskim papierów i dokumentów, podlegających rewizyi urzędników i kontroli.

Życie publiczne w Rosyi.

Prof. Filewicz w artykule, zamieszczonym w *Now. Wrem.*, omawia sprawę stosunków rosyjsko-polskich.

„Kiedy na tutejszym horyzoncie — pisze między innemi autor—błysnęły po raz pierwszy promyki lepszej przyszłości, jeden z wybitniejszych przedstawicieli kierunku „ugodowego” pisał, co następuje: „Wart jest zaznaczenia fakt, że w ciągu ostatnich dwóch lat „kwestya polska” w prasie rosyjskiej ustąpiła miejsca kwestyi „stosunków rosyjsko-polskich”. Nazwa rozpatrywanej kwestyi nie jest bez znaczenia: *nomen — omen.* Z dziedziny historyozofii, a nawet teozofii, debaty o stosunkach do Polaków wkraczają na grunt praktyczny, a to bezwątpienia wpływa na uproszczenie sprawy i ułatwia wzajemne zrozumienie się“. („Nowe prądy w społeczeństwie polskiem”, Petersburg, 1898 r.).

Czy tak jest w istocie, jak się ta rzecz przedstawia na pierwszy rzut oka?

Formalnie—kwestya polska oddawna straciła już znaczenie międzynarodowe i można być przekonanym, że nie wywoła ona już więcej not dyplomatycznych, że ani jedno z mocarstw nie zgodzi się na mieszanie się w sprawy polskie, jednocześnie jednak niepodobna nie zauważyć, że kwestyi tej nie można odgraniczyć sztucznemi, politycznemi przegródkami, że współczesne granice polityczne nie powstrzymują i nie mogą powstrzymać zupełnie naturalnego, wzajemnego porozumiewania się części narodowego organizmu, że bieg spraw w Galicyi i w Poznaniu będzie i powinien wywierać wpływ na stan rzeczy w Królestwie Polskiem, i odwrotnie. Inaczej mówiąc, każde z mocarstw, zainteresowanych kwestyą polską, musi się liczyć z przebiegiem tej sprawy w mocarstwach sąsiednich. Tym sposobem sprawa polska, utraciwszy formalnie charakter międzynarodowy, pozostaje *de facto* sprawą znaczenia międzynarodowego”.

Autor twierdzi, że idei porozumienia się Rosyan z Polakami stoją na przeszkodzie Niemcy, którzy na gruncie kwestyi polskiej oddawna już zakreślili sobie szerokie plany i systematycznie dążą do ich urzeczywistnienia”.

„A należałoby, i czas jest wielki — kończy autor — sformułować jasno owe podstawowe zasady, któremi Słowiańszczyzna będzie się mogła zasłonić, jak tarczą, przeciw zbliżającemu się germanizmowi, czy to w formie bezlitosnej zaborczości pruskiej, czy też (co jeszcze prawie gorzej) pod austryackim płaszczykiem wzajemnego pożerania się narodowości *ad majorem gloriam* tychże Niemiec“.

W N-rze 10,537 tego samego dziennika czytamy następującą korespondencyę z Warszawy, podpisaną przez p. Fiedorowa:

„W *Now. Wrem.* zamieszczona została notatka o konieczności skasowania języka rosyjskiego w gminach w uzupełnieniu postanowień komitetu ministrów.

Bezwątpienia ludność kraju, z wyjątkiem wschodnich powiatów gub. łomżyńskiej, siedleckiej, lubelskiej i suwalskiej, lepiej rozumie język polski, niż rosyjski, ale właśnie na tem opiera się postanowienie z dnia 6 czerwca. Postanowienie to usunęło na przyszłość zupełnie kwestyę utrudniania ludności miejscowej używania rodowitego jej języka, gdyż użycie języka tego sankcyonuje się w stosunkach ludności pomiędzy sobą, na zebraniach gminnych, w stosunku z władzami, z wyjątkiem wypadków stosunku z władzami państwowemi.

Roztrząsanie wszystkich spraw, tyczących się życia miejscowego, na zebraniach gminnych może odbywać się po polsku, również po polsku może się odbywać motywowanie tych postanowień przez wójtów przy redagowaniu protokółów, obowiązkowem jest tylko zamieszczanie równoległego tekstu rosyjskiego. Ustępstwo to żądaniom kulturalnym warstw ludności polskiej jest tak wielkie, że zdawałoby się, dalej iść nie sposób.

Tymczasem autor wzmiankowanej notatki pisze, że „żądanie podwójnego tekstu przy redagowaniu protokułów, przy nadzwyczaj rozwiniętym biurokratycznym systemie w gminie, gdzie jest 106 najróżnorodniejszych ksiąg, jest tak uciążliwe, że w praktyce „język miejscowy” zniknie zupełnie, i sprawy gminne

znów pozostaną dla polskiego włościanina sfinksem, i znów rządzić będzie pisarz i biurokracya miejscowa, samorząd zaś pozostanie fikcyą". Czyż autor przypuszcza, że polski język, już z racyi swego pojawienia się, zniweczy biurokracyę z władzą pisarza? Niezrozumiały związek pomiędzy językiem i samorządem. A może autor myśli, że przy języku rosyjskim nie może być samorządu? Napróżno też autor powołuje się na 106 ksiąg gminnych, większość tych książek już jest skasowana, oprócz księgi z wyrokami, w innych, z natury rzeczy, niema tekstu, tylko cyfry.

Nie język jest przyczyną, że samorząd w wielu miejscowościach jest fikcyą, lecz ciemnota, ubóstwo i niechęć warstw kulturalnych pomożenia ludowi. Prócz tego winien jest nizki stopień wykształcenia naczelników powiatów i komisarzów do spraw włościańskich".

Autor korespondencyi twierdzi, że usunięcie wszystkich tych przyczyn wpłynie niewątpliwie na rozkwit samorządu w gminach, „bez względu na język urzędowania".

W końcu p. Fied. dowodzi, że ludność polska zna dostatecznie język rosyjski, co sprawdzić można przy dorocznych poborach wojskowych. Prócz tego „od lat 40 wszystkie instytucye rządowe, a od r. 1876 i sądy, mające największą styczność z ludnością włościańską, urzędują po rosyjsku".

W „Nowostiach" znajdujemy następujący artykulik:

„Otrzymałem list od pewnego robotnika.

Pełen goryczy uskarża się on na ciemnotę i zacofanie.

Śmiało rzec można—pisze—że dla ślepego życie jest lżejsze, niż dla nas. Brniemy po ciemku i nie rozumiemy nic, co się dzieje dokoła. Są wśród nas tacy, co rozumieją, lecz tych niema wielu. Czytamy gazety i nic kompletnie nie rozumiemy. Tyle tylko, że panowie kłócą się o coś. Rozbrzmiewają słowa: „Zgromadzenie ustawodawcze", „platformy", „dyrektywy", „powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze".

A co to wszystko znaczy — ani rusz pojąć. Czuje człowiek, że wszystko to są rzeczy ważne, rzeczy potrzebne. Słyszało się, że w innych krajach narody żyją innym trybem z temi wszystkiemi „dyrektywami" i „tajnemi" prawami. Chciałoby się wiedzieć to wszystko, rozumieć, umieć się w tem rozejrzeć.

Ale kto w tem dopomoże, kto rzecz wytłomaczy?

W gazetach niewiele zrozumiesz. Książki? Te—również niezrozumiałe. Nie dla nas pisane.

A przecie jakby to dobrze było, gdyby ludzie rozumni, oświeceni, zechcieli przyjść nam z pomocą, udzielili chociaż okruchów swej wiedzy i opowiedzieli wszystko dokładnie, jak co rozumieć należy.

Pierwsza rzecz, którą zrobić potrzeba, to wydać książeczyny dla nas. Niechaj opowiedzą w tych książkach ludzie uczeni i wytłomaczą w słowach prostych i zrozumiałych to wszystko, co dziś porusza Rosyę. Co znaczy zgromadzenie konstytucyjne, sobór ziemski, duma państwowa, jak się dokonywa wyborów przedstawicieli, jakie prawa istnieją w innych państwach. Wszystko to jest ważnem i potrzebnem. Chcemy być świadomymi rzeczy robotnikami — wy zaś powinniście nam dopomódz".

List kończy gorąca prośba, aby ubłagać ludzi rozumnych i wykształconych, aby pisali książki dla robotników i wogóle dla prostego ludu.

„W ostatnich czasach — pisze *Syn Otieczestwa*,—gazety, chorujące na swego rodzaju patryotyzm, z gazetą *Swiet* na czele, zaczęły znów gorąco propagować ideę dalszego prowadzenia wojny „za wszelką cenę", dowodząc, że Rosya rozporządza niewyczerpanymi środkami i że na wszelkich punktach góruje nad Japonią. Przytaczają skwapliwie zdania Japończyków, niechętnych jakoby dalszemu prowadzeniu wojny, wprowadzając jednocześnie w błąd rosyjską opinię publiczną kłamliwemi doniesieniami z placu boju o wybornym stanie wojsk i niechybnem rozbiciu Japończyków, pomijając tendencyjnie milczeniem ogólny głos narodu, domagającego się reform i zakończenia wojny.

„Czego oni chcą, dokąd dążą ci ludzie, szafujący z lekkiem sercem krwią dziesiątków tysięcy żołnierzy, rozporządzający godnością narodową? Ach, boją się „hańbiącego" pokoju, walczą w imię honoru Rosyi! Możnaby pomyśleć, że te organy prasy, które dowodzą konieczności zawarcia pokoju, te liczne grupy społeczne, solidaryzujące z tem w zupełności—pragną jedynie, ażeby pokój był zawarty na najbardziej uciążliwych warunkach. Tysiąc razy dowodziliśmy już, że pokój należy zawrzeć, o ile można, jak najprędzej dlatego, że im później, tem będzie on dla nas mniej zaszczytny, lecz „patryoci" wolą występować w roli zbawców ojczyzny, niż brać pod uwagę dowodzenia swych przeciwników".

Dowodząc dalej, na podstawie szeregu faktów, bezcelowości dalszej walki na Dalekim Wschodzie, autor tak w końcu pisze:

„Zwycięztwo podnosi znaczenie państwa nietylko dlatego, że jest ono *symptomatem* siły, lecz dlatego jeszcze, że dowodzi, iż ta siła ma swe źródło w potężne narodowej. Zwycięzca, wyzyskując sytuacyę, dyktuje warunki pokoju, najdogodniejsze dla siebie, w tym lub innym kierunku przynoszące mu korzyść.

„Czy my możemy osiągnąć zwycięztwo nad Japonią? Dla każdego człowieka, nieodurzonego kadzidłem pustych frazesów, jest rzeczą jasną, że bez floty nie moglibyśmy wycisnąć z Japonii ani jednego rubla kontrybucyi, odebrać ani jednej piędzi ziemi.

„Ja, naturalnie, nie łudzę się nawet nadzieją, abym zdołał przekonać „patryotów" z *Mosk. Wied.* i *Swieta*. Lecz, oprócz bawiących się w patryotów publicystów, wszak istnieje w Rosyi 140 milionów ludności, której zdrowo myśląca prasa powinna powtarzać bezustannie, że wojna nie jest nam potrzebna. Wówczas tylko uczciwy odłam prasy, w razie nowego rozlewu krwi, będzie mógł z czystem sumieniem powiedzieć: „Ręce nasze nie przyczyniły się do tego".

KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. Wykonano wyrok sądu wojennego, którym Stefan Okrzeja skazany był na śmierć za rzucenie bomby.

— Rada miejska Białegostoku odmówiła poparcia miejscowemu kuratoryum trzeźwości, zamierzającemu wybudować dom ludowy; odmowę uzasadniła dążnościami kuratoryum do rozsiewania nienawiści międzynarodowościowych.

— Liczne w ostatnich czasach wypadki przewożenia przez granicę do Rosyi materyałów wybuchowych i broni spowodowały wydanie rozporządzenia, polecającego komorom celnym jak najściślejszą rewizyę bagaża, idącego z zagranicy.

— *Rus. Słow.* zapewnia, że ogłoszenia projektu sejmu państwa można się spodziewać 12 sierpnia w dniu urodzin Następcy Tronu. Projekt przewiduje odpowiedzialność ministrów a zatem natychmiastowe utworzenie gabinetu, którego prezesem zostać ma Bułygin a ministrem spraw wewnętrznych Trepow.

— Z końcem tego miesiąca zamek Wawelski ma być opróżniony i oddany w ręce komisyi restauracyjnej.

— Senat wyjaśnił, że zarządy gubernialne nie mają prawa samowolnie usuwać ludzi, którzy zostali wybrani na stanowisko zarządzających synagogami.

— W niektórych guberniach Królestwa Polskiego i prowincyi litewskich, gdzie w ostatnich czasach—jak piszą *Birż. Wied.*—zaczęły zdarzać się przejścia z prawosławia na katolicyzm, powstała kwestya, do kogo powinny należeć w tych wypadkach cerkwie parafialne oraz majątki cerkiewne: do tej samej parafii, pomimo, że stała się ona już nieprawosławną, czy też obowiązkowo tylko do wyznania prawosławnego. Duchowieństwo miejscowe—jak donosi cytowany dziennik—wyraziło zdanie, że majątki i cerkwie prawosławne nie powinny przechodzić na własność parafian, którzy przyjęli wyznanie katolickie, lecz mają pozostawać we władaniu zarządu prawosławnego.

— Policya w ostatnich czasach, jak utrzymuje *Warsz. Dn.*, odkryła w rozmaitych miejscowościach państwa 14 drukarń tajnych.

— Na zebraniu gminnem w Kutnie d. 8 b. m.—pisze *Goniec*—włościanie jednogłośnie uchwalili: 1) pisać nadal uchwały zebrań gminnych, jak dotąd, po polsku, 2) zaprenumerować na koszt gminy 31 egzemplarzy *Zorzy*, dla każdego sołtysa po jednym, 3) urządzić zimowe kursy wieczorne nauki czytania i pisania dla ludzi dorosłych, na co gmina przeznacza 60 rb., 4) wybrać z pośród obywateli i włościan 5 delegatów do taksowania strat z powodu pożarów. Wedle taksy poszkodowany ma otrzymać 50 proc. strat, które będą pokrywane ze składek, rozłożonych na morgi. W składkach uczestniczą tak obywatele ziemscy, jak i włościanie, ale tylko ostatni mają prawo do odszkodowania.

— Korespondent *Rus. Słowa* donosi z Wilna, co następuje: „Język polski wywalcza tu sobie coraz szersze prawa obywatelskie. Ukazało się wiele szyldów z napisami w języku polskim. Malarze otrzymują wiele zamówień na tego rodzaju szyldy, wielu zaś fabrykantów zwróciło się o pozwolenie drukowania etykiet w języku polskim".

— Poseł na sejm, dr. Niegolewski z Poznania, skazany został na 200 mk. kary za wydanie śpiewnika religijnego, w którym prokuratorya dopatrzyła się tendencyi podburzającej.

— Jak donoszą gazety petersburskie, wskutek ujawnionych przez śledztwo poszlak przeciw gen. Stessiowi, nie będzie mu wręczona szpada honorowa od obywateli francuskich.

— Wobec zajęcia Sachalinu i trudności wysyłania aresztantów na Sybir główny zarząd więzienny jest w kłopocie, co z nimi zrobić. Więzienia transportowe przepełnione. Istnieje projekt wybudowania więzień katorżnych, na wzór charkowskiego.

— *Rizsk. Wied.* donoszą, że marynarze libawscy w liczbie 700 odmówili przyjęcia obiadu, jako zupełnie niezdatnego do użytku. Władza przyznała im słuszność. Starszego oficera skazano na 8 dni aresztu. Marynarze oskarżają go o nadużycie pieniężne. Na okrętach „Minin" i „Kreml" odebrano majtkom broń. W arsenale brakuje kilka tysięcy karabinów i 50000 ładunków.

Strajki. Pracownicy mniejszych piekarń warszawskich zawiesili zajęcia, domagając się takich samych warunków, jakie otrzymali pracownicy większych zakładów: skróconego i co do godzin ściśle określonego dnia pracy oraz płacy od 12—15 rb. tygodniowo.

— Dn. 24 lipca w fabryce Tow. akcyjnego Lilpop Rau i Loewensztein około 2000 robotników zaprzestało pracować. Spokój zupełny.

— Zapowiedziany we Lwowie strajk powszechny na 23 b. m. nie doszedł do skutku; robotnicy urządzili tylko pochód, w którym wzięło udział 20,000 osób.

— Bezrobocie szewców po trzy tygodniowem wstrzymaniu się od pracy i po wielu naradach ostatecznie ukończone zostało. Opracowano cennik robót, który obie strony przyjęły.

— *War. Dn* pisze: „Zmowom lokatorów, domagających się obniżenia komornego, w niektórych wypadkach towarzyszyły gwałty, w razach gdy właściciel domu nie godził się na ustępstwo 20 proc. z ceny najmu. W domu np. pod Nr. 14 przy ul. Leopoldyny właścicielkę domu nakryto workiem, posadzono do taczki, którą następnie wywrócono.—W domu Nr. 69 przy ul. Krochmalnej lokatorzy wtargnęli do mieszkania administratora, nadziali mu na głowę worek, potem ściągnęli za nogi po schodach z III-go piętra na podwórze i wyrzucili omdlałego za bramę.—Przy ul. Wroniej pod Nr. 51 tłum wyciągnął administratora na podwórze, wywiózł go w taczce na ulicę z workiem na głowie i tam zbił. Gdy właściciel domu lub administrator po takich torturach godził się na ustępstwo, brano go pod ręce, wprowadzano na podwórze, gdzie na stole przygotowane już było zawczasu zobowiązanie o zniżce komornego. Po podpisaniu zobowiązania, lokatorzy robili składkę na poczęstunek gospodarza i na ogłoszenie w gazetach podziękowania. Po zaaresztowaniu organizatorów oburzających awan-

tur, wypadki gwałtów nad właścicielami domów przestały się przytrafiać."

Zamachy i zaburzenia. W Siedlcach d. 23 lipca wystrzałem z rewolweru zabito strażnika ziemskiego Muszica. Zabójca umknął. — W Kolskiem pod Blizną Wsią znaleziono martwe zwłoki starszego strażnika ziemskiego Urbańskiego.

— W Białymstoku d. 21 b. m. rzucono bombę, której wybuch ranił ciężko policmajstra, Pieleukina, jego syna i wiele innych osób.

— W Helsingforsie d. 19 lipca rzucono bombę na pomocnika generał-gubernatora finladzkiego Dejtricha, który został raniony w rękę, obie nogi i plecy. Życiu jego nie grozi jednak niebezpieczeństwo.

— *Prydniepr. Kraj* donosi, że w dniu 3 lipca w chersońskim batalionie dyscyplinarnym wynikły bardzo poważne nieporządki, podczas których raniony został naczelnik batalionu pułkownik Dawydow.

— W Teodozyi, jak pisze *Now. Wrem.* d. 8 b. m. o 9 rano odbywał się przegląd pułku wileńskiego. Po przeglądzie, tambor-major Moczydłower pochwycił karabin z pięciu nabojami i dał trzy strzały do dowódcy pułku, pułkownika Hercyka, ale chybił, zranił natomiast śmiertelnie w brzuch rezerwistę Tatarinowa i porucznika Drozdina w nogę. Moczydłowera niezwłocznie aresztowano.

Sprawy szkolne. W Wieluniu powstanie wkrótce 4-klasowe progimnazyum męzkie z klasą wstępną. Od 1837 r. miasto pozbawione było zakładu szkolnego.

— Specyalna komisya pod przewodnictwem wiceministra Łukjanowa rozpatruje projekty organizacyi prywatnych, wyższych zakładów naukowych.

— *Warsz. Dn.* donosi: Z powodu zapytania ze strony zarządu warszawskiego uniwersytetu, co do wniesienia przez studentów zapłaty za drugie półrocze 1904/5 roku szkolnego, ministeryum oświaty wyjaśniło, że zapłata za to półrocze nie powinna być braną, a wniesiona już ma być zaliczoną na następne półrocze lub zwróconą tym studentom, którzy uniwersytet opuszczają. Od studentów, którzy na wiosnę r. b. przystąpili do egzaminów ostatecznych, jak również od studentów stypendystów, zapłata nie powinna być pobraną i ci, którzy jej nie wnieśli, nie mogą być wykreśleni z listy studentów.

— Polacy, mieszkający w Kijowie, wnieśli podanie do kuratora Bielajewa o naukę religii katolickiej w szkołach niższych i średnich po polsku i o wprowadzenie języka polskiego na listę przedmiotów wykładowych w szkołach kijowskich.

Hygiena i zdrowie. Warszawska rada lekarska zwróciła uwagę na brak dostatecznej czystości przy wyrobie lekarstw w wielu aptekach.

— W Łodzi szerzą się choroby żołądkowe z objawami groźnymi.

— Przy instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu ustanowiono premium w sumie 1000 rb. za pracę o zastosowaniu radu przy leczeniu chorób skórnych.

Prasa. Gazety *Nowosti* i *Ruskije Wiedomosti* otrzymały pierwsze ostrzeżenie.

— *Łodzinskij listok* przestał wychodzić.

— Wydawca *Kuryera Codziennego* p. K. Życki uzyskał pozwolenie zmiany tytułu dziennika na *Głos polski* a redaktor-wydawca *Dzwonka Częstochowskiego* ks. J. Adamczyk na dodatki miesięczne popularnonaukowe do tego pisma.

Wiadomości ekonomiczne. Fabryki putiłowskie w Petersburgu zamknięto na czas nieograniczony. Praca ustała już od dwóch tygodni. Robotnicy przychodzili codzień, ale zaraz rozchodzili się do domów. Dyrektor zakładów ma nadzieję rozpocząć prace po upływie dwu tygodni.

Poczta i telegraf. Zarząd poczt i telegrafów projektuje zaprowadzić połączenie telefoniczne pomiędzy Warszawą, Petersburgiem, Moskwą i innemi miastami Cesarstwa.

Kongres. Komitet, urządzający Międzyn. Kongres Wolnomyślny w Paryżu (od 4 do 7 września r. b.) zawiadamia, że bilety ze zniżką 50 proc. na kolejach francuskich ważne będą od 28 sierpia do 12 września, t. j. w ciągu dni szesnastu. Bilety te są imienne, na wszystkie klasy do wyboru. O bilety zniżkowe członkowie Kongresu zechcą się zwracać natychmiast (o ile możliwe przed 1 sierpnia) do Sekretaryatu (63, rue Claude Bernard, Paris V-e, wymieniając dokładnie pograniczną stacyę kolejową francuską, przez którą chcą przejeżdżać.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych rb. 10 zwrócone przez Ninę K. za lekarza (posłane przez S. D.)

Sprostowanie. W Nr. 28 na str. 326, szpalta 3-a, wiersz 23 od dołu zamiast *żonie*, powinno być *zimie* i na tejże samej stronicy, w tej samej szpalcie, wiersz 11 od góry zamiast *polubownych* ma być *polowych*.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 13 Іюля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.